

Opowieść o tym, skąd jesteśmy

Dedykuję dzieciom i wnukom

ROZDZIAŁ I

O czarnym psie ze świecącymi oczami i skarbach pod miedzą

Dziadek Jan przyszedł z Małoszyc, tak powiedział kiedyś mój dziadek, też Jan. Więcej nie było o tym mowy ale ja zapamiętałem.

Zawsze byłem ciekawy przeszłości. Wiejskie dzieciństwo rozbudzało tę ciekawość. Ludzie dużo wtedy rozmawiali ze sobą i snuli ciekawe opowieści. Posługiwali się przy tym pamięcią bez porównania sprawniejszą niż ta dzisiejsza.

W naszym domu w Jelczy, tak jak w każdym innym, schodzili się sąsiedzi żeby pogadać, szczególnie w długie jesienne i zimowe wieczory. Siadali przy stole oprószonym żółtawym światłem słabej żarówki, pod blaszanym, zielonym kloszem w kształcie odwróconej miski. Reszta kuchni kryła się w szarych ciemniach. Ja chowałem się w największym cieniu, od światła odgradzał mnie wysoki bok starego łóżka. W tej szarości - ciemności było ciepło i miło, łóżko stało bowiem naprzeciw rozgrzanego kuchennego pieca z białych kafli. Nad głową tykał i bił co pół godziny stary Becker. Było ciepło – miło – bezpiecznie. Niewidoczne, kilkuletnie dziecko całe stawało się słuchaniem... O czym mówili? Najczęściej o prostych zwyczajnych rzeczach. O ludziach ze wsi. Kto z czym był w poniedziałek na jarmarku w Żarnowcu, ile omłócili zboża a ile jeszcze zostało, co i gdzie zasieją i zasadzą na wiosnę. Obgadywali też sąsiadów. Tutaj każdy znał każdego, wszystkie koligacje od pokoleń, zwyczaje i przywary. Wiedzieli skąd się wzięła jaka rodzina, która kobieta za kim była, kto był czym wujkiem, kto stryjkiem, kto stryjem, kto wujenką a kto ujną.

W naszej dużej wsi było kilka szczególnie rozrodzonych rodzin. W wielu domach siedzieli Kałużni. Jak ich rozróżniali w sąsiedzkich pogwarkach? Używali nie nazwisk a przydomków, utworzonych a to od imienia ojca a to od jakiegoś charakterystycznego nawyku czy powiedzonka. Synowie i wnukowie Macieja stawali się ze swoimi rodzinami Macioskami, Wawrzyńca – Wawrzoskami. Pozdrawianiem sąsiadów z sąsiadami słówkiem „serwus” inny z Kałużnych zasłużył sobie na miano Serwusia.

Słuchałem więc w mojej chatowni o wsiowej codzienności. Czasami jednak gadki odrywały się od spraw prozaicznych i zaczynały traktować o niecodziennościach. Bywało, co tu dużo mówić, o czarach i duchach. Wtedy dziecko wyteżało słuch ze wszystkich sił

Moja babcia Józia z Kałużnych / jakże by inaczej /urodziła się w 1900 roku. W czasie wielkiej wojny, pierwszej światowej, była młodą dziewczyną i wszystko co wtedy się działo w Jelczy dobrze pamiętała. Nade wszystko gód 1914 roku,

kiedy to w Jelczy stacjonowały oddziały cesarskiej i królewskiej armii Franciszka Józefa. Żołnierze, jak wspominała, karmili konie niewymłóconym zbożem. Snopki wyrzucali z zastronia stodoły prosto pod końskie kopyta, na boisko. Przywlekli też zarazę. Ludzie chorowali i umierali na tyfus. Z trudem uratował się od śmierci mój przyszły dziadek – Jasiek a trzy lata później na tyfus właśnie umarł ojciec Józki Jan Kałużny.

Wtedy to, w czas zarazy, nędzy i głodu zdarzyło się to..... . Do drzwi chałupy, w której mieszkała nasza rodzina, zimowym wieczorem ktoś się zatłukł. Do izby wszedł żebrak, jakich wielu włóczyło się wtedy po wsiach. Brudny, zarośnięty w łachmanach. Na plecach miał worek. W takim, chodzący po proszonym chlebie, nosi cały swój dobytek – to co dadzą dobrzy ludzie. Tyle, że jego wór był inny, niezwykajnie ciężki a rzucony na ziemię zabrzęczał.

„ Dajcie jeść gospodarze, bo z głodu umieram...” poprosił dziad jęklivo-błagalnym głosem.

„ Kiej sami nic nie mamy, idźcie se gdzie indziej, u nas też głód”.

Popatrzył na matkę Józki, ale tak dziwnie jakoś i przenikliwie.

„ A ta kasza co w piecu stoi?”.

Wór dzwignięty z wysiłkiem znów zadzwęczał metalem. Wtedy zrozumieli. Tam były złote pieniądze. Cóż, kiedy żebrak już rozplynał się w śnieżycy.

Kasza była. Schowana głęboko w piecu przed austriackimi żołnierzami, którzy potrafili znaleźć i ukraść wszystko co nadawało się do jedzenia. Pomyśleć, że wystarczyło powiedzieć: ...macie człowieku.. , podać miskę z kaszą i drewnianą łyżkę... Do tej pory, po stu latach z okładem, opływalibyśmy w dostatki!. Tak, wór był pełen złotych pieniędzy a ten niby-zebrak, a duch naprawdę, sprawdzał u pradziadków, czy jest w nich cnota miłosierdzia. Nie zdali wymagającego egzaminu.

To wydarzenie zapamiętali na całe pokolenia. Przemówiło dosadniej niż księżę: "głodnego nakarmić".

Pamiętam, jak ze sześćdziesiąt lat później Józka, teraz już moja babcia, przyjmowała w naszym domu na Perzówce ostatniego może wtedy wędrownego dziada. Nazywał się Wrzesień. Przychodził najczęściej w porze obiadu. Był sadzany do stołu razem z domownikami, traktowany grzecznie i z szacunkiem. Po posiłku dziękował słowami „Bóg Wam zapłać.”, zegnał się „Zostańcie z Bogiem” i wędrował dalej.

Lepiej od Austriaków wspominała babcia rosyjskich oficerów, którzy w wielką wojnę też pojawili się we wsi. Za jedzenie i pranie płacili kopiejkami. Elegancy w swoich mundurach z epoletami musieli się dziewczynie podobać.

Ta wojna a może i jakieś faktyczne wydarzenia przyniosły głęboką wiarę w zakopane w ziemi skarby. Moja mama Emilia była z domu Jedynak. Ta liczna rodzina zajmowała całą kolonię Tczyce -Ciołkowiec. Pięciu braci: Stach, Józek, Wawrzek, Kaźmierz i Andrzej mieli tu swoje gospodarstwa, miedza w miedzę, dom w dom. Sami dobrzy gospodarze, zgodni, współpracujący. Najstarszy z nich był Stach. Zapamiętałem go jako postawnego chłopca z siwą czupryną, który uwielbiał opowiadać. Cierpliwy słuchacz mógł dowiedzieć się wiele o szukaniu zakopanego złota. Nie skarbu w ogóle a konkretnie złotych pieniędzy. O tym jak je znaleźć wiedzieli stryk doskonale... Tym razem słuchało dziecko z rozdziawiona buzią w Stachowym sadku pod czereśnią rosnącą koło domu z pobielonych bali. Siedziałem tam z moim tatą. Było lato, stryk opowiadali ze swadą.

Pieniądze są zakopane w którymś załamań biegnącej zakosami miedzy, która rozdziela pola niedaleko lasu nazywanego Sołtyśnica przez ludzi z Tczycy. Jedleccy mówią o nim Chłopski Las. Szukać trzeba nocą. Różdżka niezawodnie pokaże miejsce. Ważniejszy jest jednak czarny pies ze świecącymi oczami. Trzeba psa znaleźć na skraju lasu, a potem trop w trop podążać za nim do załomu miedzy. Sposób był prosty i całkowicie pewny. Aż trudno pojąć, czemu zaczarowany zwierz nie zaprowadził nigdy Stacha do garnka ze złotem. Drugi już raz rozminęliśmy się z fortuną. Może jednak nie wszystko jeszcze przepadło?

Wiesiek Kałużny, miejscowy oryginał, mój przewodnik po sztuce pszczelarstwa, gość co o Jelczy i miejscowych wie wszystko a nawet dużo więcej, wyjaśnił mi niedawno dlaczego w ładnie wyremontowanym domu Mikułów / a to też nasza rodzina / nigdy nikt nie nocuje. Owszem, przyjeżdżają miastowi właściciele, dbają o obejście, sadzą i pielęgnują kwiatki w ogródku, ale przed nocą zawsze wyjeżdżają.

„ Mareczku, tam straszy. Całą noc chodzi po chałupie tłucze się i trzaska garnkami. Raz tam spałem i ze strachu musiałem uciekać

Ale dlaczego straszy Wiesiu?

Bo pilnuje pieniędzy, co są tam zakopane”.

A co z czarnym psem, niełaskawym dla stryja Stacha Jedynaka ze Tczycy - Ciołkowca ? Do garnka zaprowadził innych.

W latach osiemdziesiątych zeszłego wieku, przy głównej drodze wiodącej przez Tczycę, ni z tego ni z owego zbudowali wielki dom. Strasznie bogaty, imponował sąsiadom elewacją ozdobioną lusterkami i brukowanym podwórkiem. Sterczał pod górką: piękny, odmienny od okolicznych szarych i zwyczajnych. Za co go zbudowali ? Wcześniej przecież nie byli bogaci. Sąsiedzi wiedzieli. Wykopali złoto. A ja wiem, że mają być za to wdzięczni psu o czarnej sierści i świecących ślepiach.

Takie oto opowieści ze zwyczajnego i niezwykłego świata., urok wsi, chłopskiej kultury i ludzi budowały moją dziecięcą wrażliwość a wraz z nią ciekawość przeszłości.

Ta sama, dziecięca ciekawość odezwała się we mnie po latach, kiedy byłem już w wieku mocno dorosłym i zaprowadziła w progi Archiwum Diecezjalnego Kurii Biskupiej w Kielcach. Kazała mi zagłębić się przeszłość naszej wiejskiej rodziny. Wiedziałem wtedy tyle, że trzeba jej szukać w księgach parafialnych, prowadzonych przez proboszczów, będących w XIX wieku także Urzędnikami Stanu Cywilnego.

ROZDZIAŁ II

O skarbach w archiwum

Interesowały mnie księgi kościelne ze Tczycy, bo w nich musiałem szukać historii urodzin, chrztów i zgonów w rodzinie Scelinów. Wiedziałem też, że powinienem sięgnąć do zapisów parafii szczekockiej, Po co? No właśnie: „mój dziadek przyszedł z Małoszyc”- powiedział mój dziadek Jasiek – pamiętacie? Gdybym tego nie zapamiętał, nie mógłbym nigdy dotrzeć do przodków przybysza, żyjących przed pięćdziesiątym rokiem osiemnastego wieku.

Ale po kolei. Wspominam moment, kiedy siostra zakonna, kurialna urzędniczka wprowadziła mnie do pomieszczenia archiwum, mieszczącego się w Kielcach, przy ul. Czerwonego Krzyża i cierpliwie podawała kolejne tomy. Szczęśliwie wszystko co mnie interesowało zgromadzone jest w jednym miejscu. Trzeba bowiem wiedzieć, że tak Jelcza jak i Małoszyce zawsze leżały w obrębie Diecezji Kieleckiej, choć Małoszyce raz w parafii szczekockiej, raz w parafii Świętego Wojciecha w Łanach Wielkich. Dokumenty były pięknie uporządkowane. Parafiami i datami, wypełnione starannie, zrudziałym już od upływu czasu atramentem.

Do kluczowego Jana w aktach ze Tczycy dotarłem szybko. Ksiądz-urzędnik zapisał:

„Działo się we wsi Tczyca dnia trzeciego września 1860 roku o godzinie 12 w południe. Wiadomo czynimy, iż w przytomności świadków – Macieja Kałużnego lat trzydzieści i Tomasza Dziekana lat czterdzieści pięć mających, obydwu rolników ze wsi Jelcza zamieszkałych na dniu dzisiejszym zawarte zostało religijne małżeństwo pomiędzy **Janem Sceliną**, młodzianem lat dwadzieścia siedem mającym, w Jelczy na wyrobku zostającym, w Małoszycach urodzonym, synem Jędrzeja i Zuzanny małżonków Scelinów z jednej a **Magdaleną Pietrzykową**, panną lat dwadzieścia ośm liczącą, w Jelczy przy swoim ojcu zostającą, tamże urodzoną, córką Jana i Marianny z Kasprzyków małżonków Pietrzyków z drugiej strony”.

Tak oto zmaterializował mi się on – prapradziadek Jan co przyszedł z Małoszyc. Co więcej, poznałem jego rodziców.

Za chwilę pójdę dalej tym śladem ale najpierw zainteresuję się samymi Małoszycami. Wieś leży przy drodze prowadzącej wzdłuż doliny Pilicy z Żarnowca przez Łany Wielkie, Brzeziny do Dąbrowicy i Szczekocin. To Stara królewska włość, część starostwa żarnowieckiego. W XV wieku był tu młyn, karczma, łany kmiece i folwark. W XVII wieku starostowie założyli oranżerię, w

której hodowano 120 drzew cytrynowych, 28 pomarańczowych, 17 figowych, 80 bobkowych i jedno świętojańskie. Przy folwarku był staw rybny zwany Jamnicą. W połowie tego wieku / w czasie, w którym jak się później okaże, żył pierwszy poznany przez nas Scelina / wieś składała się z 70 chałup, czyli była na swój czas duża i ludna. Stąd to wyruszył Jan do Jelczy, gdzieś pomiędzy rokiem 1855 a 1860. Małoszyce należały wtedy do parafii szczekockiej. Księgi stanu cywilnego prowadził ksiądz Franciszek Zajac.

Byliśmy kiedyś z moją żoną Wiesią w tym miasteczku i, jak mamy w zwyczaju, rozpoczęliśmy spacer od zwiedzenia kościoła. Pierwszym co przy wejściu rzuciło mi się w oczy była tablica na ścianie upamiętniająca jego postać. Musiał się zasłużyć miejscowym ksiądz Franciszek. Mnie także pomógł w tropieniu śladów przeszłości, toteż zainteresowałem się bardziej jego osobą. Informacji poszukałem w „Historycznym opisie kościołów, miast, zabytków i pamiątek” autorstwa jego kolegi po fachu – księdza Jana Wiśniewskiego. W nim znalazłem ten tekst z tablicy: „DOM. X Franciszek Zajac kanonik proboszcz parafii Szczekociny przeżył lat 81, zmarł w dniu 26.XII.1858 r. Prosi o westchnienie do Boga”. Kapłan długo pełnił posługę w miasteczku bo od 1824 roku aż do swojej śmierci.

Wracam do w diecezjalnego archiwum kieleckiej kurii i trudzę się szukaniem małoszyckich naszych i Jana przodków. Kłopot w tym, że na starannie ponumerowanych i wypełnionych stronicach Scelinowie pojawiają się bardzo często. W dodatku Janami chrzczą swoich synów co i rusz. Dobrze chociaż, że prapradziadek nie zechciał przyjść do Jelczy z bliskiej Małoszyc Dąbrowicy, bo tam Scelinów jest jeszcze więcej. Kto wie? Może ta wieś to nasze pierwotne gniazdo? Pojechałem tam później z czystej ciekawości i zachwyciłem się piękną drewnianą zabudową. Ciekawe czy choć część tych domów stoi jeszcze?

Jeden z małoszyckich Janów zmylił mnie tak dalece, że radośnie zacząłem notować linię jego i jego potomków. W pewnym momencie coś jednak przestało pasować. Poczujęm się mocno zagubiony w płątaniu dat i imion. Zrobiłem sobie przerwę. Do archiwum wróciłem dopiero po paru tygodniach. Usiadłem przy biurku, otworzyłem księgę i ...jest!

Ksiądz Zajac napisał:

„ Działo się w Szczekocinach dnia siedemnastego czerwca 1834 roku. O godzinie czwartej po południu stawił się Jędrzej Scelina lat trzydzieści mający zagrodnik z Małoszyc w obecności /...../ zagrodników z Małoszyc i okazał nam dziecię płci męskiej w dniu dzisiejszym urodzone z jego małżonki Zuzanny z Krawczyków lat trzydzieści cztery mającej. Dziecięciu temu na chrzcie świętym nadano imię Jan”.

Bóg księdzu zapłać!. To ten Jan, który za dwadzieścia kilka lat pójdzie do Jelczy. Teraz zrobiło się już prościej. Wystarczyło powoli poruszać się w stronę przeciwną ruchowi wskazówek zegara i odwijać nitkę z kłębka aż do jego końca. Najpierw przeczytałem o ślubie rodziców Jana.

„ Działo się w mieście Szczekocinach dnia 24 maja 1827 roku o godzinie jedenastej przed południem. Wiadomo czynimy, że w przytomności świadków /...../ na dniu dzisiejszym zawarte zostało religijne małżeństwo między prawowitym **Andrzejem Sceliną**, kawalerem przy rodzicach żyjącym w Małoszycach z Ludwika i Agnieszki Scelinów, gospodarzy tamże zamieszkałych,

lat dwadzieścia dwa liczącym z **Zuzanną z Krawczyków Ciszowską** po zmarłym mężu Jakubie Ciszowskim w dniu szóstym miesiąca lipca roku zeszłego pozostałą wdową, córką Wojciecha i Zuzanny Krawczyków w Żarczycach włościan mieszkających a tu w Małoszycach mieszkającą /..... / . Franciszek Zajac proboszcz Szczekocin.”

Pod datą 1805 roku pojawił się zapis o urodzinach i chrzcie świętym Andrzeja, pana młodego z aktu powyżej:

„Roku 1805 dnia 19 listopada przed nami, proboszczem Szczekocin stawił się Ludwik Scelina gospodarz w Małoszycach zamieszkały i okazał nam dziecię płci męskiej na dniu dzisiejszym urodzone z niego i jego małżonki Agnieszki z Kozłowskich. Dziecięciu temu na chrzcie świętym w dniu dzisiejszym odbytym nadano imię Andrzej”.

Wpis dokonany został innym charakterem pisma, bo przez innego księdza-urzędnika. Jak donosi ksiądz Wiśniewski był nim „ Jan Pattin, rodem z Lotaryngii, proboszcz Szczekocin, dziekan lełowski zrzekł się parafii w 1809 roku”.

Z kolejnej karty dowiaduję się czegoś o Ludwiku, dziadku naszego Jana. Ten mianowicie żył krótko bo zaledwie 35 lat. Napisano:

„ W roku 1813 dnia 19 stycznia o godzinie 10 rano, przed nami, proboszczem szczekockim , spełniającym obowiązki urzędnika Stanu Cywilnego powiatu pileckiego zjawili się Andrzej Scelina, ojciec zmarłego i Tomasz Scelina – brat zmarłego włościanin w Małoszycach na gospodarstwie osiadli i oświadczyli nam, że dnia 19 stycznia bieżącego roku o godzinie 4 w nocy Ludwik Scelina lat 35 mający zmarł, włościanin na gospodarstwie osiadły – Agnieszki Kozłowskiej mąż, w domu pod Nr 9”.

O 10 lat przeżył go ojciec, a Janowy pradziadek :

„Roku pańskiego 1814 dnia 20 marca o godzinie 9 rano, przed nami proboszczem szczekockim, spełniającym obowiązki urzędnika Stanu Cywilnego parafii gminy Szczekocin powiatu pileckiego stawili się Tomasz Scelina, syn zmarłego włościanina w Łanach Wielkich osiadły i Wojciech Seweryn, zięć zmarłego, włościanin na gospodarstwie osiadły i oświadczył nam, że dnia 20 miesiąca marca roku bieżącego o godzinie 6 rano Andrzej Scelina mający lat siedemdziesiąt, włościanin kumorą w Małoszycach zamieszkały Reginy z Wierzchowskich mąż umarł w domu pod Nr 9”.

Urodził się więc Andrzej Scelina w roku 1744. I na tym koniec. Nie ma wcześniejszych ksiąg bo ich wcale nie prowadzono. Pisana historia rodziny zaczyna się / czy kończy? / w 1774 roku. Teraz jeszcze spisuję, żeby się nie pogubić w notatkach, imiona i daty. Serdecznie dziękując siostrze opuszczam gościnne progi archiwum. Rezultat przeprowadzonej kwerendy wygląda tak oto:

Andrzej Scelina ur. w 1744 r. zm. 20.03.1814 r w Małoszycach, jego żona to Regina z Wierzchowskich Scelina,

Ludwik Scelina u. w 1788 r, zm. 19. 01 1813 r. w Małoszycach, jego żona to Agnieszka z Kozłowskich Scelina,

Andrzej / Jędrzej / Scelina ur. 19.11. 1805 r. zm. w 1845, jego żona to Zuzanna z Krawczyków Scelina, wdowa po Jakubie Ciszowskim ur. 1798 r. zm. 2.02 1836 r.,

Jan Scelina ur.17.06.1834 r. w Małoszycach zm. 19.01.1879 r. w Jelczy, jego żona to Magdalena z Pietrzyków Scelina ur. w 1832 r.,

Wypisałem później zdobyte informacje, uzupełniłem imionami i nazwiskami następnych pokoleń aż do Ani i Wojtka włącznie, zatytułowałem „Genealogia rodziny Scelinów „ i powiesiłem na ścianie.

Teraz po 20 latach przyszedł czas, a czasu mam dużo bo właśnie zostałem emerytem, aby pomyśleć co z tego wynika. Czy z notatek, kilkunastu starych dokumentów zachowanych w szufladzie kredensu w Jelczy, można coś powiedzieć o ludziach skrytych za tymi nazwiskami i tymi datami ?

ROZDZIAŁ III

O tym jak w Małoszycach kumorą mieszkali pod dziewiątym numerem

Spróbujmy... Zacznę od Andrzeja, który przyszedł na świat w 1744 roku, a umarł siedemdziesiąt lat później, dożywając, jak na swój czas, sędziwego wieku.

W dniu jego narodzin trwała jeszcze Rzeczpospolita Obojga Narodów. Od dziesięciu lat miłościwie panował nam August III Sas i miał jeszcze zasiadać na tronie kolejne dziewiętnaście lat. Po nim nastał Stanisław August Poniatowski. Za jego królowania sąsiedzi rozebrali Polskę, wybuchła i upadła Insurekcja Kościuszkowska i kraj ostatecznie zniknął z mapy Europy. Rozegrały się wojny napoleońskie, utworzono Księstwo Warszawskie. Za swojego żywota Andrzej był poddanym dwóch polskich królów ale także Fryderyka Wielkiego – władcy Prus, do których po trzecim rozbiornie przyłączono ziemie na zachód od Pilicy i Napoleona, faktycznego zwierzchnika Księstwa Warszawskiego, wreszcie na rok przed swoją śmiercią carskich namiestników.... dużo tego. Zmarł tuż przed Kongresem Wiedeńskim i rok po powołaniu Królestwa Polskiego pod patronatem wszechwładcy Rosji.

Czy te wydarzenia wielkiej wagi historycznej docierały do małopolskiej wsi, czy budziły w chłopach, w tym w Andrzeju emocje a jeśli to jakie? Czy choć trochę poruszały jego, włościanina kumorą zamieszkałego w Małoszycach pod Nr 9?

Komornik to chłop – biedak, który nie posiadał własnej ziemi ani swojego domu. Mieszkał razem z rodziną w izbie wynajętej od bogatszego gospodarza, czasami od właściciela folwarku. Za możliwość uprawiania na swoje potrzeby kawałeczka ogrodu odpłacał jedyną posiadaną monetą – odrobkiem, czyli pracą rąk własnych i rodziny. W hierarchii pańszczyźnianych stał najniżej. Jej szczyt stanowili pełnorolni rolnicy, trochę niżej stali domownicy i zagrodnicy. Oni użytkowali kilkumorgowe gospodarstwa, posiadali własne zagrody, chlewy, stodoły i budynki gospodarcze, hodowali owce, bydło i dysponowali własnym sprzętem do uprawy roli.

Komornik nie miał niczego. Był wyłącznie siłą roboczą

Odpowiednie rozdziały dzieła Aleksandra Świetochowskiego „ Historia chłopów polskich w zarysie” pokazują rozpaczliwy obraz bytowania tej części społeczeństwa w XVIII wieku. Opisy licznego autorstwa, w tym zagranicznych podróżników, współczesnych im i późniejszych publicystów streścić się dają w kilku cytatach. Na przykład brytyjski wojażer jadący z Krakowa do Warszawy

takie poczynił obserwacje. Polski chłop miał według niego:

„...wygląd dziki, spaloną,ciemną, prawie czarną twarz, chude policzki, zapadnięte oczy , wzrost niski. Zimą w prostym kożuchu, latem w koszuli i spodniach ze zgrzebnego płótna, boso...”.

Inny gość, tym razem Francuz, Rieule pisał:

„... zobaczę tam szanowną klasę ludzi źle odzianych /.../, którzy są zgrzybiali przed 40 rokiem życia z braku odżywiania się odpowiedniego ich trudom.”

Powtórzę, że Andrzej Scelina, w tak scharakteryzowanej grupie był jej częścią najbiedniejszą i najbardziej upośledzoną. Milej trochę dla mojego ucha brzmią słowa Juliana Ursyna Niemcewicza, który w marcu 1831 roku / 17 lat po śmierci Andrzeja / podróżował z Warszawy do Krakowa w charakterze przedstawiciela władz powstańczych. Napisał :

„Żarnowiec, miasteczko całe w dolinie, całe oblażłe Żydami, znów lasy, góry z łupkiego kamienia wybornego do budowy. Jednak używają go mało, kraj bowiem nieludny: długo w najrozciąglejszym widokresie i włość jedna spostrzegać się daje. Lud jednak rześki, ochoczy, bojowy, mężczyźni w białych sukmanach i koniecznie czerwonych czapczkach nader przystojni, mniej kobiety. Przez morze błota i kręte parowy wjeżdża się do Miechowa „

Nie wiem, czy Andrzej bardziej przypominał głodomora z opisów zagranicznych turystów, czy dziarskiego Krakusa. Wątpię jednak, żeby specjalnie zajmowały go wielkie wydarzenia rozgrywające się poza rodzinną wsią. Kilka razy jednak historia dotarła i tutaj.

Pewnie nie uwierzycie ale..... nasz pradziad, komornik Andrzej Scelina spotkał się kiedyś z królem Augustem Poniatowskim. No może nie spotkał ale go widział a jeśli nie samą Miłościwie Panującą Osobę to jej karocę z Królem w środku. A było to tak:

„W 1787 roku Stanisław August wracając z Ukrainy na Kraków dnia 7 lipca z Sieciechowic wyjechał do Witowic, stąd do Żarnowca, gdzie gościł na obiedzie. Tam przybyła p. Urszula Dembińska, starościna wolbromska / ... / zapraszając króla na dzień jutrzejszy do Szczekocin. Nazajutrz po mszy świętej w kościele wyjechał do Szczekocin. O ćwierć mili od miasta spotkał Najjaśniejszego Pana Morstin, brat p. Urszuli i konno towarzyszył królowi jadącemu w karecie. W mieście witał króla gmin licznie zgromadzony a przed pałacem pani starościna wolbromska na czele licznej magnaterii i dam dystyngowanych...”

Tak rzeczce, wcześniej już cytowany ksiądz Jan Wiśniewski. Królewski przejazd musiał się odbyć pod oknami chałupy Nr 9 w Małoszycach, bo ta stała tuż przy samym trakcie wiodącym z Żarnowca do Szczekocin. Oglądał więc Jędrzej, jego dwóch synów i córka, co najmniej monarsza karetę zza wiklinowego płotu. A jeśli, z polecenia starościny dzierzawiącej królewską wieś Małoszyce, pojawił się wśród licznie zgromadzonego w mieście gminu, to i Jego Samego..

Przyszło też Jędrkowi być świadkiem bez porównania ważniejszych wydarzeń.

W najbliższej okolicy wybrzmiał ostatni akord Insurekcji Kościuszkowskiej, powstania narodu pojmowanego szerzej niż tylko stan szlachecki. 7 maja 1794 roku wydał Naczelnik na Rynku w Połańcu uniwersał gwarantujący Andrzejom, Bartkom i całej czteromilionowej rzeszy chłopstwa wolność osobistą, możliwość swobodnego przemieszczania się z miejsca na miejsce, zmniejszenie wymiaru pańszczyzny od 20 do 50 %. Włościanin uczestniczący w wojnie zwolniony też był ze wszystkich zobowiązań wobec pana a ten miał zapewnić jego rodzinie pomoc. Ogłoszono powołanie specjalnych komisarzy – dozorców, których zadaniem było pilnowanie przestrzegania wszystkich postanowień. Jak ważni byli chłopci dla powstania okazało się przed miesiącem w Raławicach koło Miechowa. To oni z kosami w rekach sprawili krwawą łaźnię Moskalom. Oni, ludzie rześki, ochoczy, bojowy, mężczyźni nader przystojni, jak ich opisał Niemcewicz przy okazji kolejnego, powstańczego starcia w 1830 – 31 roku.

W czerwcu zmagania rozegrały się tuż-tuż koło Małoszyc. Naczelnik stoczył bitwę z Rosjanami dowodzonymi przez Denisowa i Prusakami Fryderyka Wielkiego pod Szczekocinami. Dwudziestosześcioletnim połączonym armiom ze 124 armatami nie oparły się polskie siły o połowę mniej liczne. Po tej bitwie rozegrała się już tylko jedna, ostatnia pod Maciejowicami. Finis Poloniae. Przed walką 11 tysięcy Prusaków obozowało pod Ogrodzieńcem, Wierzbicą i Żarnowcem. Nie wiem, czy maszerowali gościńcem, przy którym stał dom w Małoszycach pod Nr 9. Musiał jednak Andrzej Scelina być świadkiem wojennych zdarzeń. Niestety nie przyniosły ani jemu ani jego sąsiadom poprawy bytu zapowiadanego uniwersałem.

Wiemy, że Andrzej umarł w marcu 1819 roku. Pochowali go na cmentarzu w Szczekocinach, na którym ponad rok wcześniej spoczął jego syn Ludwik. Wiadomo też, że przeżył go syn Tomasz i nie znana z imienia córka. Czy dzieci było więcej – wiedzieć już nie będziemy.

Ludwik Scelina, drugie ogniwo w naszej genealogii, przodek przedwcześnie zmarły, przyszedł na świat w 1778 roku. Ożeniony z Agnieszką z Kozłowskich w 1805 roku spłodził syna o imieniu, po dziadku, Andrzej. Informuje nas o tym proboszcz Jan Pattin, jak zaświadcza nieoceniony ksiądz Jan Wiśniewski, z pochodzenia lotaryńczyk. Czas krótkiego, trzydziestopięcioletniego życia Ludwika całkowicie zawiera się w „matuzaleмовym „ wieku ojca. Przypomnijmy sobie relację francuskiego podróżnika o chłopach pańszczyźnianych, którzy są „zgrzybiali przed 40 rokiem życia z braku odżywiania się odpowiedniego ich trudom”. Nie znalazłem danych o długości życia ludności chłopskiej w XVIII wieku, ale ta siedemdziesiątka czyniła Andrzeja niewątpliwym starcem. Losy naszych kolejnych przodków potwierdzają regułę. Andrzej był absolutnym wyjątkiem. Na statystyki, gdyby je wówczas prowadzono, miałyby wielki wpływ umieralność noworodków i małych dzieci. Z tego to powodu, co widać w aktach stanu cywilnego, dzieci chrzczone w dniu urodzin albo najwyżej kilka dni po, co znajdowało wyraz w stale powtarzającej się formule:

„okazali mi dziecię na dniu dzisiejszym urodzone.., dziecięciu temu na chrzcie świętym w dniu dzisiejszym nadano imię...”

Wśród potomków Ludwika zajmijmy się teraz Andrzejem – Jędrzejem, który pojawił się na świecie osiem lat przed śmiercią ojca i którego matka wychowywała wciąż w komorniczej izbie domu pod numerem 9. Był to jednak

już ostatni lokator tej izby. Andrzej zmienił swój los za sprawą ożenku. W 1826 roku zmarł w Małoszycach zagrodnik Jakub Ciszowski. Pozostawił po sobie wdowę Zuzannę i małe dzieci. Kilka mórg gwałtem potrzebowało męskich rąk do pracy. Niecały rok po jego śmierci odbył się ślub a w roli pana młodego wystąpił dwudziestojednolatek Andrzej - Jędrzej od żony młodszy o lat siedem. Ten ożenek wiele zmienił w jego życiu. Kiedy kilka lat później ksiądz Zajac kiedy odnotowuje narodziny i chrzest ich syna Jana nazywa Andrzeja zagrodnikiem. A zagrodnik to nie komornik ! Ma teraz Andrzej własny dom i na potrzeby rodziny użytkuje skrawek ziemi, te kilka morgów po Ciszowskim. U wdowy chleb gotowy. Tak to chyba było. Dalej to już tylko pytania. Ile dzieci miała Zuzanna z pierwszego małżeństwa, iloma Bóg pobłogosławił związek ze Sceliną? Nie wiemy tego.

A wielka szkoda, bo właśnie czas się zająć Janem, tak dla nas wszystkich ważnym. Wygląda na to, że był w rodzinie najmłodszym dzieckiem. W 1836 roku, kiedy Zuzanna zeszła z tego świata miał dwa latka. Ojcem też długo się nie nacieszył. Stracił go jako jedenastolatek. Co było dalej? Jak żyło rodzeństwo z jednej matki i dwóch ojców? Kto pozostał gospodarzyć na zagrodzie? Ciszowski czy Scelina ? I wreszcie, czy to wszystko wpłynęło jakoś na podjęcie przez Jana 14-kilometrowej wędrówki z Małoszyc do Jelczy?. Jak wiele razy wcześniej takzę i te zdania muszę opatrzyć znakiem zapytania, wiedząc że nie doszukam się na nie odpowiedzi.

ROZDZIAŁ IV

O tym jak Jan stał się jedleckim włościaninem

Przeprowadzka, która jak się później okazało, zaowocowała wielkimi zmianami, nastąpiła być może pod koniec lat pięćdziesiątych a może już na początku sześćdziesiątych. Celem był jedlecki folwark dworski. Kilkaset hektarów ziemi, które obejmował, wymagało rąk do pracy. Obrabiali je chłopcy w ramach przymusowej pańszczyzny ale to nie wystarczało. Potrzebni byli jeszcze wolni najemnicy – wyrobnicy, specjaliści – fornale, rzemieślnicy, hodowcy bydła, owiec.

Jan pojawił się we dworze w którejś z tych ról. Popuśćmy wodze fantazji. Mogło być tak: Jasiek pomagał w Małoszycach pielęgnować egzotyczne drzewka w oranżerii założonej przez starostów żarnowskich. Uczył się fachu ogrodnika – sadownika. Dwór w Jelczy był od strony drogi otoczony parkanem z drewnianych bali osadzonych na kamiennych słupach, „Parchanem”, jak mawiała babcia Józka, która folwark z początku XX wieku dobrze pamiętała. Za ogrodzeniem mógł być być sad. Pozwólmy zatem Jaśkowi dbać o pańskie drzewa...Mało prawdopodobne? Pewnie, że tak ale jakie miłe. Jak było w istocie tego nie dociekniemy. Przejdźmy więc do kolejnych faktów. Oto 3 września 1860 roku w tczyckim kościele odbyła się ceremonia zaślubin.

Jan Scelina pojął za żonę Magdalenę z Pietrzyków. Świadkami byli Tomasz Dziekan i Maciej Kałużny. Proponuję właśnie ten moment uznać za symboliczny czas osiedlenia się naszej rodziny w Jelczy. A gdzie dokładnie?

Trzeba wyobrazić sobie wieś w całkiem innym kształcie niż obecna, rozległa, rozrzucona po koloniach. Taki obraz to efekt znacznie późniejszych zmian. Dopiero nastąpi uwłaszczenie, komasacja 1913 roku, masowy zakup dworskiej ziemi przez chłopów zrzeszających się w spółki i osiedlanie na nowych miejscach poza starą wsią. Jelcza z połowy XIX wieku to obecna „Wieś”. Domy zbudowane wzdłuż drogi, która z jednej strony łączyła się z żarnowskim traktem a z drugiej kończyła gdzieś w okolicy obecnego domu Kałużnych, przy zakręcie na Olszyny. Dalej, na wschód do Uniejówki ciągnęły się bagniste łąki i olchowe zarośla a koło źródła nazywanego Stokiem, dwór urządził stawy rybne.

Ze względu na ciasną zabudowę pierwszej linii miejscami pojawiała się druga.

Domy stawiali wyżej, szczytami do głównej drogi. Obecny świadkiem takiego układu jest już tylko dom państwa Szczepaników. Mój dziadek pokazywał mi miejsce, gdzie przy drodze wcinającej się w południowy skłon głębokiego wąwozu, jaki stanowił główną drogę przez wieś, stała chałupa Scelinów. Mniej więcej naprzeciwko obecnego domu rodziny Szczęsnych. Dziadek Jan pamiętał to miejsce doskonale. Tutaj urodził się w 1896 roku.

Leżą przede mną zdjęcia XIX-wiecznych chałup z okolic Żarnowca

przetrwały do początku naszego wieku, ilustrujące opracowanie „Cechy architektoniczno – przestrzenne regionu” autorstwa Barbary Górniewicz, zamieszczone są w książce „Żarnowiec szkice z dziejów „. Widać na nich jednoizbowe chaty zbudowane z sosnowych bali łączonych na obłap lub rybi ogon, pokryte słomianą strzechą. Do izby wchodziło się przez sień a dalej do komory. Jeszcze dzisiaj w 2021 roku można obejrzeć taki dom przy drodze przez Koryczany. Jest oznaczony numerem 75. W sąsiedniej Chlinie stoi jeszcze relik, pewnie już ostatni w okolicy, chłopskiej osady zwanej okołem. Przestrzeń maleńkiego podwórka zabudowana jest dookoła domem mieszkalnym, chlewem i stodołą a zamknięta wysoką bramą wjazdową. Nędzę chłopskich siedlisk oddał w swych obrazach krakowski malarz z Podgórza Aleksander Kotsis. Uwieczniał co prawda zagrody galicyjskie, ale te nasze nie były inne. W takiej chacie rozpoczęli wspólne życie Jasiek i Magda.

Przełądam w internecie galerie obrazów Kotsisa. Oglądając wiejskie chałupy dostrzegam inne jego dzieło. Jak wszystkie przepojone głębokim współczuciem dla chłopskiego losu a szczególnie dla nędzy dzieci.



„Matula pomarli”, Aleksander Kotsis

To jakby reportaż z przeszłości Jaśka. W izbie na łóżku, na którym leży zmarła matka, kilkuletnia dziewczynka tuli dwuletniego może chłopca. Przy stole obok stoi ich braciszek. Kiedy Jasiowa mama Zuzanna umarła, malec też miał dwa latka.

Wracam do Jelczy i młodych Scelinów. Jest rok 1860. Nie wiemy jeszcze, że wraz z nimi stoimy u progu historycznie doniosłych wydarzeń, które wstrząsną Królestwem Polskim i ziemiami zabranymi. Za trzy lata, 22 stycznia wybuchnie powstanie. Ciekawym zbiegiem okoliczności piszę te właśnie słowa 22 stycznia 2021 roku w 158 rocznicę rozpoczęcia walk.

Kolejne i nie ostatnie z serii polskich powstań zakończyło się straszliwą i brzemienna w skutki katastrofą. Zginęło 100 tysięcy jego uczestników, 200 tysięcy zesłano na Sybir, zlikwidowana została autonomia Królestwa, rozpoczęto całkowitą rusyfikację kraju. Czy wpłynęło na losy wyrobnika i jego rodziny z Jelczy?

W dniu wybuchu powstania jego władza, Rząd Narodowy, ogłosiła dekret, którego pierwszy artykuł brzmiał:

„ Wszelka posiadłość ziemska, jaką każdy gospodarz tytułem pańszczyzny posiadał, wraz z należącym do niej ogrodem, zabudowaniami mieszkalnymi i gospodarskimi, tudzież przywilejami do niej przywiązanymi – od daty niniejszego dekretu stają się wyłączną i dziedziczną dotychczasowego posiadacza własnością”.

Decyzja powstańczej władzy spotkała się z natychmiastową odpowiedzią cesarskiej administracji. Już w marcu ukazał się dekret uwłaszczeniowy. Jego ogłoszenie miało odciągnąć chłopów od udziału w powstaniu. Niestety rosyjskie „ divide et impera „ osiągnęło skutek, szczególnie w drugim jego roku. Przygnębiającą ilustrację postawy części chłopów wobec szlacheckich bojowników znajdziemy na kartach „ Rozdziobią nas kruki wrony „ Stefana Żeromskiego . Oto przy trupie zamordowanego przez moskiewskich żołdaków pojawił się:

„ nowy przybysz, co zbliżał się niepostrzeżenie, chyłkiem, podobny do dużej szarej bestii. Nie był to wcale poetyczny szakal lecz człowiek ubogi, chłop z wioski najbliższej /...../. Bał się srodze Moskali, toteż prawie pełzał na czworakach. Paliła go żądza pouciania rzemieni i podniecała słodka nadzieja znalezienia // żelastwa , postronków i odzieży na trupie. /...../ przeżegnał się i zmówił głośno pacierz. Wyrzekłszy ostatnie amen, już a błyskiem pożądliwości w oczach, rzucił się przede wszystkim do kieszeni i zanadrza i począł szukać trzosa. Nic tam już nie znalazł. Obdarł tedy trupa z sukmany szmat zgrzebnych, zzuł mu buty, zabrał nawet zbłocone onucki, owinął tymi łachmanami część broni i szybko się oddalił /..../. Do jednej z tych dziur zaciągnął włościanin nad wieczorem trupa powstańca i zwłoki konia /...../. Zepchnął je pospołu do jednego lochu, uwikłał żerdzią między dylami i zielskiem i narzucił z wierzchu trochę gliny, aby tego żeru wrony nie wytropiły”.

I komentuje spotkanie dwu nieszczęśników Żeromski:

„ Tak bez wiedzy i woli zemściwszy się za tylowieczne niewolnictwo, za szerzenie

ciemnoty, za wyzysk, hańbę i cierpienie ludu szedł ku domowi z odkrytą głową i modlitwa na ustach „

. Powstanie upadło. Ukaz cesarski zaczęto wprowadzać w życie. Był on właściwie tożsamy z powstańczą deklaracją .Tak jak ona stanowił, że:

„ grunta zostające w posiadaniu włościan /...../ we wszystkich majątkach stają się własnością włościan, niezależnie od tego na jakiej zasadzie posiadali oni swoje osady i jakie odbywali powinności „

Uregulowanie dotyczyło również sytuacji służby dworskiej, która mieszkała w zabudowaniach folwarcznych na wsi i użytkowała ziemię w ramach wynagrodzenia za pracę. Przypuszczam, że w oparciu o tę właśnie zasadę Jan stał się pełnoprawnym posiadaczem gospodarstwa – osady włościańskiej.

Nie da się przecenić wagi tej chwili w losach przodka naszej rodziny i tysięcy chłopów w Królestwie. Relacjonuję informacje z przeszłości wcześniejsze od ogłoszenia uwłaszczenia o 120 lat. Pisałem o Andrzeju, Ludwiku, Andrzeju – Jędrzeju. Oni ,tak jak dziesiątki pokoleń wcześniej nie posiadali żadnej własności. Byli komornikami, zagrodnikami, obrabiającymi pańską ziemię w zamian za użytkowanie spłachetka na własne potrzeby. Podlegali od wieków, mówiąc za Żeromskim, wyzyskowi i byli utrzymywani w ciemnocie i pohańbieniu ludzkiej godności.

Rok narodowej klęski przyniósł Janowi własność. Stał się on włościaninem w najistotniejszym znaczeniu tego słowa. Posiadał własność i mógł o niej samodzielnie decydować. Majątek mógł sprzedać / ale tylko innemu chłopu /, po śmierci dziedziczyły go jego dzieci. Ukaz wprowadzał tylko jedno ograniczenie. Nie wolno było, przy przeprowadzaniu postępowań spadkowych, dzielić gospodarstw. Postanowienie mądre, bo zapobiegało rozdrabnianiu tego, co i tak z trudem mogło dać utrzymywanie jednej rodzinie.

W Jelczy zdecydowana większość ziemi po reformie nadal pozostała w rękach dworu. Zachował on 1336 morgów, podczas gdy do chłopów trafiło 449. Takie informacje są zawarte w „ Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego”. Możemy w nim przeczytać także, że na początku lat osiemdziesiątych we wsi były 52 domy. Jak dokładnie policzono mieszkało w nich 446 osób, w tym 221 mężczyzn i 228 kobiet. W tych liczbach mieściła się rodzina Jana i Magdaleny.

Włościanin Scelina z Jelczy. Włościanin. Pamiętam jak wnuczek tamtego Jana a mój dziadek, też Jan wymawiał to słowo „**włościjanin** „. Brzmiało w jego ustach mocno i dumnie.

Podstawowym dokumentem regulującym proces uwłaszczenia były tzw. tabele likwidacyjne sporządzane oddzielnie dla każdej wsi. Figurowały w nich zapisy o nadaniu poszczególnym chłopom „osad włościańskich”, czyli gruntów ze stojącymi na nich budynkami.

Przyszedł wreszcie czas aby mógł bardziej niż do tej pory oprzeć się na konkretnych danych zawartych w dokumentach.. Uwłaszczyć na faktach zapisanych w papierach z naszego domowego archiwum.

Jan Scelina został zapisany w tabeli likwidacyjnej wsi Jelcza pod numerem 61/62 z nadaną mu osadą o powierzchni 5 morgów 51 prętów, albo według miary rosyjskiej około 2 dziesięcin jednego tysiąca pięćdziesięciu dziewięciu sążni ziemi z zabudowaniami i prawami do serwitutów. Dowiadujemy się tego z

najstarszego dokumentu jaki posiadamy, mianowicie z „ Pierwszego wypisu z aktu notarialnego zawartego u notariusza miechowskiego Władysława syna Antoniego Ankiewicza w rejestrze za 1903 rok nr 1374 „Sporządził go urzędnik miechowskiego Sądu Pokoju. Oczywiście po rosyjsku, przepięknie kaligrafowanego grażdanką na dwu kartach papieru dużego formatu, który po 118 latach przybrał szlachetny kolor sepia.

Nikt by teraz nie wiedział co w nim miechowski notariusz napisał , gdyby nie moja znajomość języka rosyjskiego. Oprawiony w ramy akt zdobi jedną ze ścian naszego kieleckiego domu. Dotyczy sprawy spadkowej po zmarłym Janie. Ale o tym później.

Powierzchnia uwłaszczeniowego gospodarstwa podana jest w dwóch miarach:

rosyjskiej – dziesięciny i sążnie i polskiej morgi i pręty. Poprzeliczałem je i okazało się, że obejmowała prawie trzy hektary. To tyle bez mała ile obecnie mają łącznie działki, nasza i Staszkowa / a raczej Wojtka i Magdy / na Perzówce.

Zmienił się fundament, pozostała bieda i codzienny trud, aby wyżywić rodzinę.

A Bóg błogosławił licznym potomstwem. Pierwsze pięcioro dzieci rodziła Magda z podziwu godną regularnością, w równych odstępach dwóch lat:

Elżbietę – 11 maja 1861 r

Idziego – 25 sierpnia 1863 r

Wojciecha – 29 marca 1865 r

Marianę 30 sierpnia 1867 r

Andrzeja – w 1869 r

Później były jeszcze dwie dziewczynki:

Anna ur. w 1873 r i

Julianna – której daty urodzin nie znalazłem.

- Najstarsza z rodzeństwa Elżbieta żyła tylko trzy miesiące. Jej zgon zgłosił na plebanię ojciec, z którym przyszedł jako świadek pięćdziesięcioletni Jan Pietrzyk, zapewne jego teść, ojciec Magdy.

Jak zapisał w księdze zgonów ówczesny proboszcz tczycki Fabian Przybyłowski , obaj byli niepiśmienni. Równie szybko małżonkowie pochowali swoje drugie dziecko – Idziego. I on zmarł jako niemowlę. Pozostała piątka już szczęśliwie przeżyła. W 1879 roku w jednej izbie jedleckiej chałupy było ich siedmioro. W niczym w tym względzie nasza rodzina nie odbiegała od ówczesnej normy. Przypomnę: 52 domy zamieszkiwały w Jelczy Anno Domini 1880 roku 449 osoby..

Nie dało się wyżywić tylu gąb z trzech hektarów. Nadal musieli się najmować do roboty we dworze. Folwark stał się wtedy olbrzymim pracodawcą. Uwłaszczenie pozbawiło dziedzica darmowych rąk od setek lat gwarantowanych przez pańszczyznę. A w Jelczy do obrobienia pozostało przecież 668 ha pańskiej ziemi. Teraz jednak za chłopską robotę trzeba było już zapłacić. I tak w chałupach pojawiły się pieniądze, kopiejki a z czasem i ruble. W ten sposób Scelinowie i ich sąsiedzi, gospodarze na własnych zagrodach, stopniowo włączali się w gospodarkę towarowo – pieniężną. Jako mikroskopijne drobinki ale jednak. Dosięła ich też jedna z dwu konieczności nie do uniknięcia na tej ziemi. Podatki. Jak zapisano w akcie koloru sepia, z osady włościańskiej w Jelczy zapisanej w tabeli likwidacyjnej pod numerem 61/62 należało do carskiego skarbu płacić 2 ruble 13 kopiejek podatku głównego rocznie. Z tych chłopskich opłat rząd

wynagradzał w postaci obligacji i odszkodowań częściowo wywłaszczonych w 1864 roku dziedziców.

Jan umarł w 1879 roku. Odszedł pierwszy w Jelczy Scelina i pierwszy w historii rodziny gospodarz na własnych morgach. Był uczestnikiem zmian dla niego i dla wszystkich chłopów w Królestwie rewolucyjnych. W ciągu ostatnich lat jego życia wydarzyło się niezwykle wiele. Niezmienna pozostała wciąż tylko nędza. Dożył 45 lat. W domu, z dobiegającą pięćdziesiątki matką pozostawił pięcioro dzieci. Najstarsze miało 14- cie a najmłodsze 4 lata. Synowie musieli zastąpić ojca w obrabianiu pola i wynajmować się do roboty na folwarku, bo przecież przepisy o pracy małoletnich to wynalazek znacznie późniejszych czasów. Dziewczynki szybko stawały się gospodyniami.

Historia dziecięcego osierocenia powtarza się w naszej rodzinie regularnie.

Pamiętamy dzieje Jaśka, przyglądamy się gromadce pozostawionej przez niego samego. To samo wydarzy się w następnym pokoleniu, równo za czterdzieści lat, z tą tylko różnicą, że dzieci 14-to letniego teraz Wojtka będą trochę większe. Jasne staje się dlaczego na gospodarce zazwyczaj zostawali najstarsi synowie. Wcześniej musieli zastąpić zmarłych ojców, pomóc w wychowywaniu młodszego rodzeństwa. Trzeba je było wykarmić, ubrać, dziewczyny powydawać za mąż a na koniec wszystkich pospłacać. Uwłaszczenie otwiera bowiem w historii rodziny nowy rozdział – nie kończące się, wyniszczające spłaty.

Nie mam już więcej wiadomości na temat mojego drogiego Jana. Kończy się ta część opowiadki. Pozostało tylko odprowadzić go razem z wdową, dziećmi i sąsiadami na tczycki cmentarz. Do kościoła przywieźli Jana wozem na żelaznych kołach a prędzej saniami bo zimowy styczeń zawiął drogę śniegiem i pewnie ciężko byłoby jechać żelazniakiem pod Bartkową Górę. Po mszy zanieśli na ramionach trumnę na cmentarz. W jednej czwórce niósł ojca Wojtek. Przecież miał już 14 lat. I tak tej zimy pogrzebano pierwszego Scelinę na pięknie położonym cmentarzu we Tczycy.

Jego i Magdy grób- kopczyk ziemi z drewnianym krzyżem nie trwał długo. Na jego miejscu chowano później zmarłych z rodziny Pietrzyków. Pamięć jednak i tym razem nie zawiodła. Mój ojciec wspominał, że jego ojciec a mój dziadek zapalał na Wszystkich Świętych swojemu dziadkowi świeczkę. Ojciec pokazał mi w którym miejscu północno - wschodniej części cmentarza. Teraz jest tam pomnik z lastriko a na tablicy wśród nazwisk rodziny Pietrzyków widnieje i nasze. Spoczywa w tym grobie razem z Janem i Magdą ich córka Julianna zmarła jako panna. Zaprowadzę tam Anię i Wojtka, niech i oni zapamiętają. Teraz żegnam się z Tobą Janie – pionierze.

ROZDZIAŁ V

O Wojtku, Maryśce i wiernej miłości

Czas płynął, dzieci dorastały, Wojtek stawał się faktycznym następcą ojca na gospodarce. Stopniowo zmieniała się też wieś. Folwark oparty wcześniej na darmowej pracy dostarczanej przez pańszczyznę, stanął w obliczu braku pieniędzy na opłacanie robotników, zakup koni i sprzętu rolniczego bezpłatnie dostarczanego dotąd przez chłopów. Z drugiej strony narastał głód ziemi u włościan biedujących z dużymi z reguły rodzinami na kilkumorgowych gospodarstwach z uwłaszczeniowego nadania.

W 1872 roku w guberni Kieleckiej, na terenie której leżała Jelcza 26,2% osad chłopskich miało powierzchnię poniżej 3 mórg, 52,2% od 3 do 15 i 21% ponad 15. Dawało to przeciętną 5,7 morgi. Gospodarstwo Scelinów mieściło się idealnie w tej przeciętnej.

Odpowiedź na problemy dworu i włościan mogła być tylko jedna. Zakup przez chłopów folwarcznej ziemi. Ale oni oczywiście nie mieli pieniędzy. I wtedy, pod koniec XIX wieku we włościańskim życiu po raz pierwszy pojawił się kredyt. Udzielał go, powstały 1890 roku w Królestwie Polskim Bank Włościański. Można było uzyskać pożyczkę nawet do 90% wartości kupowanej ziemi z terminem spłaty prawie trzydziestoletnim.

Tymczasem wróćmy jednak do lektury aktu notarialnego z 1903 roku. Dowiemy się z niego, jak spadkobiercy Jana podzielili się majątkiem pozostałym po jego śmierci. Przypomnijmy, że przedmiotem rozliczenia była osada zapisana w tabeli likwidacyjnej pod numerem 61/62 o powierzchni w przybliżeniu 3 hektarów wyceniona przez nich samych na 1150 rubli. Do aktu stanęły wszystkie dzieci: Wojciech, Anna – teraz już Włodarczyk zamieszkała z mężem we wsi Góra Siewierska w powiecie będzińskim, Marianna – po mężu Gola, niezamężna Julianna i Andrzej. Zapisano, że jedynym i pełnoprawnym posiadaczem gospodarki staje się Wojciech, spłaciwszy siostry i brata kwotą po 230 rubli każdego. Posiadaczem:

„ w całej jej rozciągłości i składzie, ze znajdującymi się na niej budynkami i prawami do serwitutów „.

W odróżnieniu od niepiśmiennych sióstr, Wojciech podpisał akt własnoręcznie. Witamy go więc jako pierwszego w rodzinie, który posiadał tę sztukę /a było to zaledwie wiek i trochę temu /.

O rozwoju gospodarstwa zdecydował wspomniany przed chwilą Bank Włociański. Piętnaście lat od aktu z 1903 roku, w chwili śmierci Jana / o jej smutnych i poruszających okolicznościach napiszę jeszcze / gospodarstwo znacznie się rozrosło. Składało się teraz z osady zapisanej w tabeli likwidacyjnej, po komasacji 1913 roku pod Nr 57, o przestrzeni 3 dziesięcin 1607 sążni, działki Nr 18 w spółce Jelcza Olszyna, obejmującej 5 mórg i działki w spółce Zastodole o powierzchni 2 mórg. Ponownie przeliczyłem miary. Z ruskiego na nasze. 3 dziesięciny 1607 sążni to prawie 4 hektary, 7 mórg daje drugie tyle. Razem bez mała 8 ha. Ziemię w Olszynach i Zastodolu Wojciech kupował jako udziałowiec dwóch spółek, założonych z sąsiadami, bo tylko one mogły stanowić prawnego kontrahenta banku dla zaciągnięcia pożyczki. Prawo własności Zastodola wyglądało następująco:

„ Działka 31 hektarów, trzy tysiące osiemset dwadzieścia metrów kwadratowych gruntu obejmująca, w spółce dwudziestu gospodarzy, przy pomocy Banku Włociańskiego nabyta”.

Stan posiadania Wojciecha w chwili jego śmierci podany jest w spisie dóbr sporządzonym na urzędowym druku przez jego dzieci w obecności sołtysa – Tomasza Kasprzyka i świadków w osobach Macieja Zegarka i Wincentego Koniecznego oraz biegłych mężów zaufania - Mikołaja Kasprzyka i Jana Wątorka ,wybranych przez sukcesorów. Poza ośmioma hektarami gruntu wycenionymi w markach polskich na kwotę 3 mln 350 tys. spisano także mienie ruchome. Oceńmy z naszego, współczesnego punktu widzenia całe to bogactwo:

łóżka – 2
stoły – 1
stołki – 3
beczki – 2
cebrzyk – 1
wiaderko – 1
żarna – 1
garnków żelaznych – 3
dzieża – 1
niecki – 1
do tego 1 kozuch

I to wszystko! Osobno wymieniono klacz ze źrebięciem i narzędzia gospodarcze, wóz, dwoje sań, pług, brony, sieczkarnia chomąto i 3 sierpy.

Te 8 hektarów to jak na małopolską wieś, w rękach włocianina całkiem sporo. Tylko tyle, że majątek Wojciecha był obciążony olbrzymim w stosunku do możliwości gospodarstwa długiem. Raty pochłaniały każdą kurę i każde jajko, które szło do żarnowskiego Żyda. Scelinowie spłacali je kolejno: w rublach, polskich markach a na koniec w złotówkach.

Do niedawna myślałem, że markowa inflacja z początku lat 20 w Polsce, która w ciągu dwu lat osiągnęła 2 500 000%, pozwoliła jakoś łatwiej i może szybciej uwolnić się od długu. Na pewno nie nastąpiło to jednak przed 1921 rokiem, bo po śmierci Wojciecha jego córka Marianna (Maryna Konieczna z Lasu) odstępując swoją część majątku bratu Janowi – mojemu przyszlęmu dziadkowi,

zabezpiecza się zapisem, że będzie on:

„... płacił /...../ tak zaległe jak i bieżące raty długu Banku Włociańskiego”.

Ze wspomnień mojego ojca wynika, że raty spłacali jeszcze wiele lat później.

Śledząc jak Jan Scelina regulował zobowiązania wobec rodzeństwa można przerobić praktyczną lekcję przebiegu hiperinflacji markowej i błogosławionych skutków reformy monetarnej Jana Grabskiego z 1924 roku. Porównajmy spłaty równych części majątku.

Dopiero co wspomniana Maryna – rok 1921- 50 tys. 250 marek,
Andrzej – rok 1924 / tuż przed reformą / – 450 mln marek,
Teofila – rok 1928 – 2600 złotych polskich.

Jaka była rzeczywista wartość powyższych kwot, Bóg raczy wiedzieć. Wydawało mi się, że najgorzej na całym zamieszaniu mógł wyjść Andrzej. Wygląda jednak na to, że nie został uszczęśliwiony bezwartościową stertą marek, bo dopiero w 1931 roku podpisał pokwitowanie odbioru od brata, tytułem spłaty po ojcu, kwoty 3200 zł.

„ Dnia dwudziestego marca tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku. Ja niżej podpisany mieszkaniec wsi Swoiczany, Gminy Tczyca Andrzej Scelina syn Wojciecha, niniejszym kwituję mieszkańca wsi Jelcza, Gminy Tczyca Jana Scelinę z odbioru od niego sumy 3.200 (trzy tysiące dwieście) , należącej mi się od niego z dobrowolnej umowy podziału spadku po świętej pamięci Wojciechu Scelinie . Z odbioru powyższej sumy osobiście się podpisuję, Andrzej Scelina „

Tych parę lat musiał zająć Jaśkowi uciulanie potrzebnych pieniędzy, Warto przy okazji pomyśleć o trudnościach z jakimi musiała się zmierzyć powstająca II Rzeczpospolita.

Borykając się z kredytem już po raz kolejny porzuciłem chronologię. A przecież żyje jeszcze Wojciech. Uczestniczy w zmianach zachodzących w Jelczy. Folwark z coraz to większym trudem radzi sobie z brakiem rąk do pracy. Zaczyna ją zastępować maszynami. Pierwsze pojawiają się żniwiarki, bo w czas żniw najtrudniej zwerbować pracowników – chłopi obrabiają swoje morgi. Później dochodzą parowe albo kieratem napędzane młockarnie, i siewczarnie. Włocianie hodujący więcej niż na folwarku zwierząt zaczynają nawozić swoje pola. Rosną więc plony. Część dzieci jest posyłana do dwuklasowych szkół.

Jelcza z początku XX wieku różni się już od tej z pierwszych lat po uwłaszczeniu. Zakupione kolonie, uregulowane w trakcie komasacji z 1913 roku zabudowują się nowymi gospodarstwami. Wojciech też buduje DOM. Nasz DOM na Perzówce. Rodzina zamieszkuje w nim w 1918 roku. Już z niego wyruszył Wojciech w wielką podróż do odległych o prawie 100 kilometrów Kielc. Celem była Hipoteka Wojewódzka. Zastanawiam się co pradziadek miał tam do załatwienia. Może, razem z sąsiadami regulowali zapisy dotyczące spółek Olszyna i Zastodole, znosząc współwłasność i obciążając hipoteki poszczególnych gospodarzy? Jeśli tak, to nie jechał sam a w ich towarzystwie. Podróż odbył koleją.

W 1885 roku uroczyście otwarto drugi odcinek kolei Iwanogrodzko – Dąbrowskiej łączącej Kielce z Dąbrową Górniczą. Na jej trasie powstał dworzec kolejowy w szczerym polu dóbr Charsznica, oficjalnie nazwany Miechów –

Charsznica. Wyobrażam sobie jak grudniowym porankiem 1918 roku, żegnany przez żonę Mariannę wsiada pradziadek do sań zaprzęgniętych w kobyłę przez najstarszego syna Jaśka i ruszają na stację. Przez głębokie parowy zasypane śniegiem dojeżdżają do osady, która zdążyła już powstać wokół kolei.

Odjazd nastąpił sprzed dworca, bo budynek jest teraz ruiną. W czasie wojny w 1915 roku splądrowali go i spalili Niemcy. Na fotografii z 1919 roku widzę ściany gmachu z pustymi oknami, pozbawione charakterystycznych wysokich dachów nad każdą z jego czterech brył. Kielecki dworzec, na którym wysiada Wojtek, przeżył to samo. Na początku wojny wysadzili go w powietrze Rosjanie, ale wkrótce, w nieco zmienionej formie, został odbudowany przez Austriaków. Pradziadek zobaczył go już w pełnej krasie. To pierwszy z imponujących widoków, który zrobił na przybyszu olbrzymie wrażenie. Komuś, kto z Jelczy wyprawiał się najdalej do Żarnowca na poniedziałkowe jarmarki, Kielce musiały się wydać niewyobrażalnie wielkim miastem. Nadal wyteżam wyobraźnię, żeby zobaczyć pradziadka w ogromnym kożuchu / tym ze spisu inwentarza /, butach z cholewami, baraniej czapce, jak kroczy ulicą Franciszka Józefa, rozglądając się wokół. Za ledwie miesiąc wcześniej kielecka młodzież rozbroiła resztki garnizonu austriackiego. Imieniem Henryka Sienkiewicza nazwano ulicę później. Po prawej ręce, aż do ulicy Czystej / obecnie Paderewskiego / nie ma jeszcze budynków. Parkan odgradza je od pól, na których uprawia się ziemniaki i kosi siano. Od dworca do hipoteki jest kilometr. Napatrzył się Wojtek po drodze na piękne budynki Hotelu Polskiego, Teatru Ludwika. Z wylotu ulicy Dużej otworzyła się przed nim perspektywa na Katedrę i Pałac Biskupi. Sprawy załatwiał w pięknym budynku wzniesionym w 1824 roku, który na rogu ulicy Sienkiewicza i Hipotecznej stoi do dzisiaj i do dzisiaj pełni tę samą funkcję. Pradziadek wrócił do Jelczy zapewne pełny wrażeń, zmęczony i przemarznięty. Poczł się przeziębiony, choroba rozwijała się szybko i przerodziła w zapalenie płuc. Przed praktycznym zastosowaniem odkrycia Fleminga z 1928 roku, takie zapalenie zazwyczaj kończyło się śmiercią.

W tym miejscu muszę podzielić się wątpliwościami dotyczącymi pradziadkowej wyprawy, które być może zadają kłam temu, co kilka dni temu napisałem. Przeglądałem w Wikipedii informacje o historii tunelu kolejowego w Uniejowie – Rędzinach, nazywanego po prostu Tunelem. I okazuje się, że przekop pod Białą Górą został przez Rosjan, na początku wojny w 1914 roku wysadzony w powietrze. Odbudowało go Państwo Polskie dopiero pod koniec 1920 roku. Nie mógł więc Wojtek jechać koleją do Kielc wyruszając z Charsznicy. To może z Kozłowa?

Tylko czy wtedy pod koniec 1918 roku kolej w ogóle funkcjonowała? No dobrze. Ale jeśli nie kolej to jak? Przecież nie końmi. Z Jelczy do Kielc jest ponad 90 kilometrów. Jedno jest pewne. Mój dziadek wspominał, cytuję prawie dosłownie:

„ojciec pojechał na zapisy do Kielc, zaziębił się, dostał zapalenia płuc i umarł,,

Relacja 22 - letniego wówczas naocznego świadka i uczestnika wydarzeń musi być w stu procentach pewna! Nie pozostaje mi więc nic innego, niż pogodzić się z faktem, że tej historii nie potrafię wyjaśnić i pozostawić to co napisałem tak jak jest.

Nie doczekał Wojciech Scelina wigilii Bożego Narodzenia. Umarł 20

grudnia 1918 roku. W nowiułtkim domu, pachnącym sosnową żywicą świeżutkich bali zgromadzili się sąsiedzi, żeby z rodziną zmarłego czuwać nad jego otwartą trumną.

Nazajutrz wasąg zawiózł Wojciecha do kościoła, tak jak 40 lat temu jego ojca.

Od tamtego czasu świątynia zmieniała się nie do poznania. Kosztem 1500 srebrnych rubli wyłożonych przez Wandę z hrabiów Górowskich Wielowieyską dwukrotnie ją powiększono. Roboty skończono w 1903 r a w 1905 kościół został poświęcony. W tym kształcie znamy go dzisiaj. Razem z sąsiadami niósł ojca na cmentarz Jasiek. Wojciech spoczął w mogile z drewnianym krzyżem w jego północno – zachodniej części. Sam cmentarz też zmienił się na kilka lat przed opisywanym smutnym wydarzeniem. Został, jak donosi kronikarz Wiśniewski:

„ omurowany i osztachetowany kratą żelazną w roku 1908 – 1909 przez księdza Mazurka, proboszcza miejscowego, który też i figurę Najświętszej Marii Panny na skale stojącej , na pamiątkę jubileuszu Niepokalanego Poczęcia postawił „

Dobrym gospodarzem musiał być ks. Władysław Mazurek. I krewkim duszpasterzem, niestety. Bardzo źle zapisał się w pamięci mojego dziadka Jaśka. Kiedyś, pewnie latem, chłopak stał z rówieśnikami przed kościołem zamiast wejść do środka. Pasterz zaczął zaganiać owieczki do swej zagrody...pasem. Pas dosięgnął Jaśka sprzączka i rozkrwawił mu głowę. Do końca życia zapamiętał proboszcza. Każde wspomnienie o nim okraszał ciężkim słowem. Poprzednikiem Mazurka / którego zamaszysty podpis na wyciągach z aktów stanu cywilnego parafii Tczyca, w tym akcie śmierci Wojciecha, mogę oglądać w rodzinnym archiwum /, był ks. Fraciszek Kozerski. Według świadectwa dziejopisa Wiśniewskiego i ten proboszcz nie był zbyt wysokiego mniemania o swoich parafianach:

„ chłop chociaż się kłania i mówi z tobą, wiedz, że na ciebie poza sobą trzyma kamień, którym lada chwila uderzy cię boleśnie „

ostrzegał kolegów po fachu . No cóż. Wzajemnej miłości wyraźnie nie było.

Pisząc o naszych przodkach skupiałem się do tej pory na mężczyznach. Kim był, co robił Andrzej, Ludwik, Jędrzej, Jan, Wojciech.....Prababki wspomniane były jakby trochę przy okazji. Wzruszająca historia, która przed nami, dotyczy jednak kobiety. Wojtkowej żony Marianny, pewnie na co dzień nazywanej Maryską. Znalazł pradziadek swoją pannę w rodzinie Romanów w Marcinkowicach, wsi za Uniejówka, którą dobrze widać z naszego pagórka za stodołą.. Nieduża, czarnowłosa, tak zapamiętał ją Jasiek, który swoja urodę po niej odziedziczył, bo ojciec podobno był blondynem. Miała 21 lat kiedy się pobierali, razem przeżyli 28. Urodziła i wychowała siedmioro dzieci, trzy dziewczynki i czterech chłopców.

Kiedy przeprowadzali się ze Wsi do nowego domu na Perzówce Maryna i Hanka poszły już za mąż. Miało się chyba ku lepszemu, tak musiała myśleć. Musiała też strasznie się cieszyć na pierwszą Wilię Godnich Świąt w nowym, pachnącym sosnową żywicą domu, z którego na pewno była, tak bardzo, po babsku, dumna. Wtedy Wojtek pojechał do Kielc, wrócił, zachorował i jak pamiętamy wkrótce umarł. Została sama.

Jak później wspominali „ coś zrobiło się jej z głową”. Nie dawała się

dzieciom utrzymać w domu. Co rano uciekała i siadała pod domem Zegarków. Patrzyła na Magierowe obejście, pola na Olszynach i czekała, że on wróci. Ten obraz z opowieści dziadka tkwi we mnie od lat. I teraz, kiedy to piszę, widzę prababcię wyraźnie, z całym jej bezradnym bólem. / staremu chłopu wilgotnieją oczy.../.

Nie wiem czy Marianna też nabawiła się zapalenia płuc, czy aż tak bardzo zapamiętała się w swej boleści, ale po trzech miesiącach już nie żyła.

Dzieci, w asyście sąsiadów pochowały mamę w marcu. Po trzech miesiącach rozstania Marianna i Wojciech znowu byli razem.

ROZDZIAŁ VI

O Naszym Domu

Chałupę wzniesli na przyciesi z dębu przywiezionego najprawdopodobniej z Chłopskiego Lasu, wciąż jeszcze serwitutowego, czyli dającego między innymi prawo do pozyskiwania przez włościan budulca. Przykryła ją obfita czapa naczułkowego dachu poszytego strzechą z małych snopeczków /kowiorków/ wykręcanych z żytniej słomy. Bale ścian połączono w wieniec i pomalowano wapnem.

Sień dzieliła budynek na dwie nierówne części. Na lewo wchodziło się do 20- metrowej izby a z niej do małej komory. Po prawej stronie powstał chlew dla konia, krów i świń. W izbie nie było podłogi tylko gliniana polepa. Powalę z ręcznie struganych desek osadzono na dwóch stragarzach. Jeden z nich stolarz a może mój dziadek ozdobił rozetą – kołomirem i pięknie wykaligrafowanym napisem:

B. Boże temu domowi i mieszkańcom w nim JW i M Scelina 1918r .

To” B „ na początku znaczy „ Błogosław „Widocznie autor zaczynając robotę bał się, że na dłuższy napis nie starczy miejsca na belce. JW i M to oczywiście Jan, Wojciech i Marianna. Chałupę ogrzewał gliniany piec z drewnianym ocapem, postawiony przy jednym w całym domu kawałku ściany murowanej z kamienia, który lata temu tak zachwalał Niemcewicz, jako doskonały materiał do budowy – fajermuru

I do tej pory, już ponad 100 lat stoi nasz dom przy drodze na Perzówce. Wciąż ten sam, choć przecież nie taki sam. Zmieniał się w trakcie minionego wieku na modłę opisaną w urokliwej książce Władysława Łozińskiego wydanej we Lwowie „Życie polskie w dawnych wiekach „ O powstawaniu szlacheckiego gniazda autor pisze:

„ dwór staropolski /...../ nie był nigdy od razu gotów /.../ stawał się powoli, robił się, aż stał się i urósł w pełni. Miał swoją biografię jak człowiek, a ta historia jego życia czytała się w jego przystawkach, przybudówkach i dobudówkach.

Nie prędzej był skończenie gotów, zanim nie mieścił wśród swoich ścian trzech pokoleń.

Miał sto lat wzrostu i dojrzewanania. Dziad go zaczął , wnuk dopiero skończył.

Bez wielkiej przesady mógł o nim śpiewać Wespazjan Kochowski:

Tu ojciec z dziady, krewnych gromady
i mali wnukowie dzieciństwa doszli,
w zgodzie rośli
Przy swojej starszej głowie.”

Może trochę mnie poniosło przy obmyślaniu takiej analogii....Wszak my nie

herbowi a chałupa nie dwór. To prawda, ale zbudował ją mój pradziadek, rozbudował dziadek, potem mój ojciec i wreszcie ja dołożyłem następne ściany. Teraz przyjmuje pod swoim dachem naszą córkę i syna z rodzinami – ich dziećmi a naszymi wnukami. Przebiła jedlecka chata dwór z jego trzema pokoleniami w dwójnasób. To ją plebejuskę nobilitowało, czyli uszlachciło. Dlatego piszę Nasz Dom dużą literą. A oto jak odbywało się jego „wzrastanie i dojrzewanie”.

W 1947 roku dziadek wspólnie z najstarszym synem, moim stryjem Felkiem, zbudowali z pustaków przestronny chlew. Pomieszczenie po prawej stronie od sieni opuszczone przez ryczący i kwiczący inwentarz zamieniło się w komorę. Magazynowano w niej zboże w skrzyni – siasieku i wiele różnych rzeczy, co to szkoda wyrzucić bo mogą się przydać a nie przydadzą się nigdy . Powstał też od strony podwórka / mówiło się od trawnika / korytarz, którym przechodziło się do chlewa. Szczególnie przydatny w słotne i zimowe dni. Jego część mieściła warsztat stolarski. Na gwoździach wbitych w ścianę wisały piły, piłki, heble a podłogę wiecznie zaścierała warstwa drewnianych wiórów, wypełniających powietrze piękną wonią świeżo obrobionego drewna i żywicy. Jako dziecko uwielbiałem to miejsce i jego zapachy.

Kilka lat później rozbudowę przeszedł sam dom. W miejscu komory powstała druga izba mieszkalna – pokój. Tym sposobem chałupa wydłużyła się o jakieś trzy metry na zachód. Wstawiono nowe skrzynkowe podwójne okna, których wewnętrzną część zdejmowano na lato. Zrobił je świetny stolarz z Żarnowca, nomen omen też Scelina. Najwyraźniej kontynuował długą tradycję rodzinną roboty w drewnie, bo w znalezionym na wieży kościoła pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny w miasteczku dokumencie, zapisane jest, że przy jego remoncie w 1861 roku :

”zatrudniali się reperacją około kościoła Łukasz Scelina majster cieśla z wynagrodzeniem, Józef Szczepanik Odwaga, jako podmajstry już w roku 1836 wzmiankowany przy takiejże robocie, Paweł i Michał Scelinowie, majstrowie ciesielscy. Zaś do pokrycia blachą kopuły użytym był starozakonny Icyk Goldsztajn, blacharz z Pilicy”.

W pokoju mieszkałem jako dziecko od drugiego do szóstego roku życia z mamą. Ojciec przyjeżdżał tylko na niedzielę bo pracował na Śląsku. Kilka razy zmieniane było pokrycie dachu. Pierwszą ofiarą postępu padła strzecha. Sam brałem udział w jej zrzucaniu. Kurz, jaki wznosił się ze spadających na ziemię kilkudziesięcioletnich, częściowo przegniłych snopków gęsto zasłonił całą Perzówkę. Na dachu pojawiła się papa, potem płyty azbestowe, aż końcu ojciec zainwestował w blachę chroniącą dom do dzisiaj.

Na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego roku postęp zagroził dalszej egzystencji chałupy całkowicie. Miał ją zastąpić nowy, murowany, nowoczesny dom. Zbudowany według typowego projektu nazwanego” budynek mieszkalny typ -MB- 0165/B. „ Roboty zaczęły się w 1972 roku. Pamiętam je doskonale, bo praktycznie przez całe wakacje szkoliłem się w fachu pomocnika na budowie. Najbardziej zapadły w pamięć i kręgosłup siedemnastolatka okropnie ciężkie głazy kamienia z Dobrakowa , z których wzniesiono ściany piwnic.

Stary dom ucierpiał tylko tyle, że utracił komorę, niegdysiejszy chlew. Reszta miała zniknąć z powierzchni Perzówki nieco później. Ale nie zniknęła bo rozpoczął się spór postępu z konserwatyżmem moich dziadków. Nigdy nie

przyjęli do wiadomości potrzeby przeprowadzki. Wydaje mi się, że nawet raz nie wspinali się po karkołomnych schodach na piętro kamienicy. Nie chcieli i już! Sojusznikiem starocia stał się już wtedy i mój ojciec, przyszły sentymentalny „kustosz” chałupy i całej zagrody. Zamiast zburzyć, remontował. Zaczął od opisanej wymiany strzechy.

Lata osiemdziesiąte pokazały, że dom jest za ciasny. W dwóch izbach brakowało miejsca dla nowej rodziny Marka i Wiesi Scelinów i ich dzieci, Ani i Wojtka, przyjeżdżających z Kielc na soboty i niedziele /wiem jak bardzo szkoda Wam było czasami nie obejrzeć Teleranka/. Uciążliwy był brak łazienki. Wtedy z ojcem obmyśliśmy przerobić część chlewa, przylegającą do domu na pokój z łazienką. Zlecenie przyjął sąsiad z kolonii, murarz Zdzisiek Bielecki – mój rówieśnik. Dom rozrósł się wtedy do trzech pomieszczeń mieszkalnych i łazienki.

Po śmierci rodziców Emilii / 2010 r / i Gienka / 2011 r / odpowiedzialność za trwanie jedleckiego domu spoczęła na mnie. W 2012 roku szczęśliwie wyszedłem z choroby nowotworowej. Postanowiłem pieniądze, które z tytułu jej leczenia wypłacił mi ubezpieczyciel przeznaczyć na remont. Dom wymagał go pilnie. Z powodu przegniłej przyciesi niebezpiecznie się przechylał, butwiejące okna trudno się otwierały, wewnątrz było zawilgocone.. Tamtej wiosny solidną robotę wykonał Marcin Szczęsny ze swoimi braćmi. Podlewali budynek, wylali betonowy fundament, zamontowali nowe okna, elewację od frontu obili nowymi deskami. Zaraz potem powstało przybudowane do starego serca domu - kaflowego pieca, nowe, zaprojektowane przeze mnie kominek. Bardzo pomógł przy nim Rysiek Ostachowski mój cioteczny brat. Przywiózł z Niemiec wkład solidnej firmy Hark i wykonane w swoim zakładzie gotowe elementy z kamienia. Wyszło pięknie. Dziękuję Ryśku!

Znów upłynęło trochę czasu i na świecie pojawili się wnukowie: Natałka, Tomek i Pulinka. Po raz kolejny zrobiło się za ciasno. Poprosiłem panią architekt z Kielc – Beatę Mazurek, żeby zechciała obejrzeć włości i zaprojektować pomysł na kolejną rozbudowę domu. W jej pracowni powstał profesjonalny, oparty o sztukę budowlaną i odpowiednie przepisy projekt „ Rozbudowa rancza „. Dwa lata temu ekipa Szczęsnych dobudowała czwarty pokój a dom znowu rozrósł się na zachód o następne trzy metry. W ten sposób osiągnęliśmy obecny stan „wzrastania „ - 100 metrów kwadratowych w postaci czterech pokoi, sieni spełniającej rolę kuchni, długiego korytarza i łazienki. Wiosną przyszłego roku będę chciał wymienić podłogę w kuchni – jadalni. Trochę z żalem, bo lubię te siedemdziesięcioletnie dechy, leżące wprost na ziemi / na nich, jako dziecko ustawiałem drewniane klocki wyjęte z wiklinowego koszyka w asyście łaciatego kundelka kundelka Pikusia. Pikuś był bardzo zmyślnym psiną. Umiał służyć, podawać łapę. Dziadek nauczył go jeszcze innej sztuki, tym razem bardziej praktycznej. Nasza łąka przylegała do Uniejówki. Po drugiej stronie rzeki kobiety z Marcinkowic pasły swoje gęsi. Gęsi jak to gęsi przepływały na naszą stronę i niemiłosiernie niszczyły trawę. Nauczony przeze Jaśka Pikuś, na hasło „gęsi” startował jak strzała wypuszczona z łuku. Po kilku minutach, a do rzeki jest dobrze ponad kilometr, nad Uniejówką unosił się wrzask i tumany pierza. Pikuś właśnie zarobił na swojej misce.

Desek nie wyrzucę, nie spalę ale wymyślę dla nich jakiś odpowiedni zasługom użytek. Drewno już przygotowuje Staszek. Ściął wielki modrzew rosnący po jego stronie i deski suszą się ułożone w stodole i przed nią..

Czy to już koniec historii „wzrastania” Naszego Domu ?. Nie wiem. Wszystko w

rękach następców. Opowiadanie o losach domu nr 101 w Jelczy-Perzówce srodze
zaburzyło jego nurt główny. Pora więc wracać do niego.

ROZDZIAŁ VI

O moich dziadkach a specjalnie o Jaśku

Wracam do marca 1918 roku aby śledzić koleje życia następnego pokolenia Scelinów – moich dziadków. Robię to z niejaką obawą. Niedługo wspomnienia staną się osobiste. Będą dotyczyć ludzi, których znałem, kochałem, którzy mieli duży wpływ na to, jak się kształtowałem, którzy byli mi bardzo bliscy.

Po utracie w ciągu trzech miesięcy obojga rodziców na Jaśka spadła odpowiedzialność za przyszłość rodzeństwa, 15 -letniej Teofilki, 12-letniego Wicka, i 9-letniego Józka. Jasiek miał wtedy niespełna 22 lata.

Na ścianie Naszego Domu wisi najstarsza rodzinna fotografia. Są na niej ci troje i kolejna siostra Hanka, która wydała się już za mąż za Macieja Filusa. Patrzy w obiektyw przygarniając do kolan dwoje swoich dzieci – Andrzeja i Anielkę. Ojciec dzieci stoi obok. Nie ma na zdjęciu Maryny i Andrzeja. Ona też już wcześniej wyszła z domu do swojego męża, wcześniej owdowiałego Józka Koniecznego. Mieszkają Na Lesie. A Andrzej, wyprowadził się do Swojczan. Rodzina zebrała się przed obiektywem w dniu ślubu Jaśka z Józką Kałużną z chałupy na rogu wsi, tam gdzie droga skręca w górę do Olszyn. Związek młodych pobłogosławił w tczyckim kościele już nam znany i nie bardzo sympatyczny ks. Władysław Mazurek.

Zdjęcie dali później całkiem sprawnemu malarzowi kopiście. Na jego podstawie stworzył ładny portret młodych. Patrzy na nas z niego Józka w koralach na bluzce i ciemnowłosa Jasijek o przystojnej twarzy zdobionej zawadiackim wąsikiem. Pan młody ma 23 lata a jego wybranka 19. Trzy lata wcześniej straciła ojca. Janek Kałużny zmarł na tyfus w Wielką Wojnę w 1917 r, w czasach, w których nie wiele brakowało, by spłynęła na rodzinę fortuna przyniesiona przez dziada, w worze wypełnionym złotymi pieniędzmi. Leży w jednym z grobów odwiedzanych przez nas we Wszystkich Świętych, / z przekrzywionym krzyżem, przy zachodnim ogrodzeniu cmentarza/. Jego żona Marianna, jedna z moich prababek przeżyła go o 46 lat.



Najstarsza fotografia rodzinna. „Ślub Jana Sceliny i Józefy Kałużnej”

Zachował się dowód osobisty wydany Mariannie Kałużnej w dniu 20 czerwca 1938 r z upoważnienia wójta Tczycy przez sekretarza Gminy Stanisława Paradowskiego , nawiasem mówiąc ojca znanej publicystki Ireny. Z rysopisu wynika, że mama Józki była: „ wzrostu średniego, twarz miała owalną a oczy niebieskie” Pod zdjęciem pozostawiła niepodrabialny znak identyfikacyjny:

„ odcisk palca wskazującego prawej ręki „

bo, jak dalej czytamy była niepiśmienna. Z czułością wspominał swoją babcię swój ojciec. Jako dziecko biegał do szkoły wózkiem koło Magierów a dalej przez Wieś obok jej domu. Specjalnie wychodził z domu nieco wcześniej a przed babcią zwalniał, trochę marudził żeby usłyszeć: " poczekaj Gieniuś trochę, ugotuje ci jojecko". Dla chudego Gieniusia jojecko było rarytasem, bo cały kurzy produkt z jego domu trafiał do Żyda w Żarnowcu. Grosz do grosza i było na spłatę.

Po ślubie Józka przyszła na Perzówkę i zastąpiła Teofilkę w matkowaniu chłopakom. Scelinówna szykowała się właśnie do wyjścia za mąż. Wkrótce, już jako żona Jana Kocimskiego przeprowadziła się do Tczycy, gospodarzyć w obejściu po lewej stronie drogi do Wierzbia, pod górką. Jeszcze ze dwadzieścia lat temu można było zobaczyć ceglany chlew, który po nim pozostał. Dzisiaj nie ma już śladu Kocimskich. Po wyprowadzce Teofilki zostało ich w domu czworo: młode małżeństwo – Józka i Jasiek i dwóch wyrostków, Jaśkowych braci. Wkrótce i to się zmieniło. W izbie przybył jeszcze jeden lokator. W marcu 1921 roku Józka urodziła chłopaka. Na chrzcie świętym pierwszy przedstawiciel kolejnego

pokolenia Scelinów otrzymał imię Feliks. Dzieciak martwił matkę, bo krzywo trzymał głowę i nic nie mogli na to poradzić.

Młody Jasiek grał na klarncie w jedleckiej orkiestrze, która miała długą historię, bo mieszkaniec wsi Sajdak założył ją już w 1893 roku. Razem z nią Jasiek chodził na pielgrzymki do Częstochowy. Przez całe życie odbył tych wypraw ponad 30. Z tej z 1921 roku przyniósł do domu obraz, litografię Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Powiesili wizerunek na ścianie w izbie, klękali przed nim i zmawiając pacierze modlili się o zdrowie dla synka. Pomogło. Głowa się wyprostowała, chłopak wyrósł jak świeca i stał się wielce przystojnym mężczyzną. Po latach odwdzieczył się orkiestrze, która miała pośredni udział w tym wydarzeniu, inicjując i przeprowadzając jej reaktywację po wojennym niebycie.

Pięćdziesiąt lat po tamtej, maryjnej interwencji moja ówczesna szefowa, Anna Śleźnik dyrektorka Wojewódzkiego Zespołu Pomocy Społecznej w Kielcach, kobieta prawdziwie wierząca w Boga, przekazała mi, zdruzgotanemu diagnozą raka migdałka, zalecenie mnicha z Mjedźugorie. Powiedział;

„ Niech się odda w opiekę Matce Bożej Nieustającej Pomocy, niech się do niej modli a będzie żył „

Wiesia kupiła obrazek. Modliliśmy się. Żyję do dziś. To był wizerunek tej samej Matki, który wisi na ścianie w Jelczy. Tuż obok tyka niezmordowanie od ponad dziewięćdziesięciu lat zegar z fabryki Beckera.

Cztery lata po Felku w 1925 roku przyszedł na świat drugi chłopak – mój ojciec Eugeniusz. Niedługo potem dom opuścił Wicek. W 1927 roku rozpoczął dwuletnią służbę wojskową, którą pełnił na Polesiu w miejscowości Łuniniec, gdzie stacjonował III batalion 84- tego pułku Strzelców Poleskich.. Po powrocie na wieś ożenił się z Marianną Boguszówną. Osiadł niedaleko, na kolonii Zastodole zbudowanej na tyłach folwarcznych zabudowań. Wygląda na to, że dostała mu się część ojcowizny, ziemia zakupiona przez Wojciecha we włościańskiej spółce.

W 1930 roku urodziła się Scelinom dziewczynka, Helena. Jako ostatni z rodzeństwa opuścił dom Józek, trochę taki miejscowy enfant terrible. Krewki rozrabiaka, sprawiający bratu – opiekunowi niemało kłopotów. Wyprowadził się do żony w Swojczanach. Po wojnie wyjechał z rodziną na ziemie odzyskane i osiedlił się we wsi Kłopot, która wcześniej nazywała się po niemiecku Kloppitz. Wieś leży w obecnym województwie lubuskim. Nazywają ją Bocianowem albo Bocianią Wsią ze względu na dużą ilość gniazdujących w niej ptaków. Można tu zwiedzać jedyne w Polsce Muzeum Bociana Białego.

Najdalej od rodzinnej Jelczy zawędrował Janowy brat, Andrzej. W latach 30-tych pracował w kopalniach zagłębi belgijskich i francuskich.

Był później wspomniany jako wyjątkowo ciepły i dobry człowiek. Ciocia Helena pamięta kilka jego przyjazdów z zagranicy i podarków, jakie im, dzieciom stamtąd przywoził. Opowiada także o pieniądzach, którymi wsparł Jaśka, kiedy ten kupował od Żyda pole (mówiło się potem o tym polu „żydowskie” albo „mośkowe”). Zapamiętała, że przyszły pocztą, w kopercie opatrzonej wielką czerwoną pieczęcią.

Babcia Józka mówiła o swoim szwagrze: „bardzo dobry był Andrzej, jak ktoś potrzebował, to zdejmował ostatnią koszulę, żeby się nią podzielić”. Niestety,

na jego przykładzie sprawdziło się powiedzenie, że dobrego jest krótko. Umarł wcześniej, mając tylko 65 lat. Leży na tczyckim cmentarzu, tuż obok grobu swojego brata Jaśka.

W 2009 roku w głowie mojego ojca powstał pomysł zorganizowania rodzinnego zjazdu w Jelczy. Powiedział później jego uczestnikom, że to czas najwyższy, bo kolejne spotkanie odbędzie się już na jego pogrzebie. Niestety, jak zazwyczaj, tak i tym razem miał rację. Zmarł dwa lata później a jeszcze wcześniej, bo zaledwie niecały rok po spotkaniu odprowadzaliśmy na cmentarz w Tczycy moją mamę. Ale wtedy, we wrześniu 2009 roku było uroczyste i radośnie. Świętowaliśmy naraz 80 urodziny mojej mamy, 55 rocznicę małżeństwa rodziców i naszą 25-tą.

Uroczystą laudację, sławiącą rodzinne przymioty wygłosiła ciocia Helena Scelinówna Ostachowska. Mową wiązaną opowiedziała losy pokolenia swoich rodziców poczynając od 1918 roku. Oddaję jej głos.

„Dziś trzeba schylić czoła przed przodkami, tego domu mieszkańcami, przywołać rodzinę Marianny i Wojciecha Scelinów, co odeszli przed ponad 90-cioma latami.

To oni , fundatorzy domu, na stragarzu którego wypisano < Błogosław Boże>

Pozostawili, umierając młodo, siedmioro dzieci, wiedząc, że im Jaś pomoże.

Byli to : Teofila, Wincenty i Józef, pozostali pod brata opieką.

Starsze – Marianna, Anna i Andrzej same już sobie chleb pieką.

Andrzej był przedsiębiorczy,

On we Francji i Belgii pracował.,

a ciężko mu było, na kolanach węgiel fedrował.

Cała ta liczna rodzina bardzo się kochała.

Obchodzono ostatki, wesela i chrzciny, były dyskusje z Wincentym do rana bez mała.

Teofila idących z kościoła na kapustę zapraszała a Hanka, pięknie szyjąc serdaki, pół wsi ubierała

Łącznikiem w tej rodzinie była Józefa z Kałużnych, żona Jana.

Ona stale się krzątała, potrzebującym służyła radą, choć sama niewiele posiadała.

Umiała cementować przyjaźń, o rodzinne związki dbała.

Wychowywała chłopaków / Wicka i Józka /,

ich drobne występki skrzętnie przed mężem ukrywała.

Dziś w mogiłach na tczyckim cmentarzu spoczywają.

Jan, Józefa, Andrzej, Marianna, Wincenty i Anna tu swe groby mają.

Tylko Teofila za mężem w Nowej Hucie a Józef w Inowrocławiu na cmentarzu znaleźli schronienie.”

Lata trzydzieste. W domu Scelinów pozostali wreszcie już tylko rodzice z trójką dzieci. Żyło się może trochę lżej, bo bracia i siostry byli już prawie pospłacani, bank chyba też. Pamiętamy zachowane w domowym archiwum poświadczenie odbioru od brata spadkowych pieniędzy po ojcu, własnoręcznie podpisane przez Andrzeja Scelinę, z datą 20 marca 1931 roku a opiewające na kwotę 3.200 zł. Pomyślmy chwilę i policzmy. Do spłacenia było sześcioro rodzeństwa. Ówczesne 3200 zł., to obecnie około 32 tysiące / szacuje się, że 1

przedwojenny złoty odpowiada od 9,46 do 11,36 współczesnego /. Pomnóżmy więc te 32000 przez sześcioro spadkobierców, a otrzymamy, na pewno obarczony jakimś błędem, ale jednak oddający skalę obciążenia szacunek. 200 tysięcy obecnych złotych. Do tego raty kredytu z Banku Włociańskiego ! Te liczby budzą we mnie bezmierny szacunek dla pracowitości, zaradności i RZETELNOŚCI w rodzinnych stosunkach moich dziadków.

Spędziłem z babcią Józką i dziadkiem Jaskiem mnóstwo czasu za mojego dzieciństwa i młodości. Byli wtedy już starszymi ludźmi. Takich ich poznałem i pokochałem. Ciekawe jacy byli za czasów swojej młodości i w wieku dojrzałym w okresie pomiędzy dwiema wojnami?. Przeczytajmy co napisała na moją prośbę o swoim tacie Helena – ostatnia żyjąca ze swego pokolenia, 91 -letnia / w roku 2021 / ciocia Ostachowska. Ponownie oddaje jej głos:

„ Mam napisać kilka stron o moim Ojcu, jako najmłodsza i jedyna córka.

Sprawa dla mnie trudna, bo z jednej strony istnieje związek emocjonalny a z drugiej czas, o którym chciałabym powiedzieć to ponad 70 lat życia rodzinnego. Przynosiło ono przeróżne sytuacje, o których trudno pamiętać, choć może były ważne.

Zacznę od późnych lat trzydziestych, bo wtedy z Ojcem – Tatusiem, brałam już udział w uroczystościach gminnych czy kościelnych, bo był radnym i grał w orkiestrze. Pamiętam taki dzień, kiedy mówiłam w Tczycy wierszyk o Piłsudskim < Bija dzwony biją, stary Zygmunt bije, już trzeci rok mija , jak Dziadek nie żyje > Miałam wtedy 8 lat.

A teraz o Ojcu.

W wieku 22 lat został sierotą, mając w obowiązku opiekę nad trojgiem młodszego rodzeństwa. Zdawał sobie sprawę, że czeka go odpowiedzialność, której trudno będzie mu sprostać.

Był człowiekiem utalentowanym. „ Złota raczka „ - mnóstwo rzeczy potrafił zrobić sam.

Uczył nas – dzieci solidnej pracy i obowiązkowości. Każdy miał swoje zadanie. Biada, jeśli kto je zaniedbał. Aż do przesady pilnował, żeby wykonać dobrze swoją pracę. Był bardzo oszczędny, ale nigdy chytry.

Podziwiam dzisiaj, z perspektywy własnego długiego życia jego dalekowzroczne myślenie.

Po spłaceniu własnego rodzeństwa i rodzeństwa żony, wyobraził sobie przyszłość własnych dzieci.

Najstarszy Felek miał zostać gospodarzem. Dlatego poparał jego małżeństwo z Anielką, córką Kałużnego – Serwusia, bo dostała w wyprawie / ale bez zapisu / pięć morgów dobrej ziemi.

Gienek już w 1938 roku poszedł do gimnazjum w Olkuszu. Co miesiąc trzeba było płacić 25 zł. za szkołę i 25 za internat / obecnie ok. 500 zł. /

Ja miałam być aptekarką.

Uczyłam się na tajnych kompletach w czasie okupacji na plebanii we Tczycy u ks. Bińczyckiego

Maturę zdałam już po wojnie w Miechowie, razem z mamą Marka – Emilią. Nauka na kompletach kosztowała Ojca bardzo dużo. Pół metra / 50 kg / pszenicy za naukę na kompletach we Tczycy, pół metra za tajne komplety Gienka w Kępiu i wydatki związane z nauką Felka w Liceum Górniczo – Hutniczo – Mierniczym w Krakowie. Jakże ciężko musiało być finansowo rodzicom. Ale plan Tatusia

zapewniał dobrą przyszłość dzieciom.

Wspominając wiele talentów Ojca muszę dodać, że był profesjonalnym pszczelarzem. Wiedział chyba wszystko o pasiece.

Miodobranie to było wielkie święto. W stodole stała maszyna do wirowania plastrów a obok bańki szybko napełniające się miodem. Było bowiem 30 pni czyli rodzin pszczelich.

Jako muzykant był bardzo akuratywny. Znał nuty, grał na trudnym instrumencie – klarncie. Grywał na weselach, za co dostawał spore pieniądze, które lokował w gospodarstwie i w naukę dzieci.

Dzisiaj nazwalibyśmy go ekologiem. Dbał bardzo o rośliny, sadił drzewa i krzewy różnych gatunków na pożytek dla pszczół.

Tato był lubiany przez sąsiadów, bo umiał doradzić w trudnych sprawach, napisać podanie albo załagodzić spory.

Był konsekwentny. Od 30 -tych lat należał do Polskiego Stronnictwa Ludowego, bo w jego działaniu widział troskę o ludzi biednych, analfabetów, chłopów zadziornych z otwartymi głowami.

Był sprawiedliwy, nawet wtedy, gdy coś działo się z jego albo jego rodziny krzywdą.

Nie lubił pijaństwa, ale nie stronił od alkoholu. Po uroczystościach zawsze zostawał na napiwek czy poczęstunek, ze świadomością, że w tym czasie zastąpi go w domu moja mamusia Józka.

Potrafił w trosce o zdrowie, po bardzo poważnej operacji, rzucić palenie papierosów, bo tak powiedział mu lekarz.

Nie mogę nie wspomnieć o dbałości o gospodarskie zwierzęta. Najczęściej w oborze stały trzy krowy i dwie jałówki. Dbał też nadzwyczajnie o konie. Doczekał czasu, że miał ich parę.

Zawsze starannie obcinał ich kopyta, czyścił sierść zgrzebłem i specjalną szczotką.

W czasie wojny stracił trzy kłacze:

- pierwsza, kasztanka poszła na front w polskim wojsku 3 września 1939 r,
- drugą, gniadą zabrali Niemcy,
- trzecią ukradli Rusczy 1 1945 r i sprzedali gdzieś za wódkę. Po interwencji Ojca u dowódcy / a znał dobrze rosyjski / zostawili mu w zamian jakiegoś ochwaconego taborowego kałmuka. Tata nie mógł na niego nawet patrzeć, nie wprowadzał konia do stajni i szybko się go pozbył.

Sam sprawował opiekę weterynaryjną, szczepił zwierzęta, odbierał porody,,

Dziękuję ci Ciociu! Namalowałaś piękny obraz swojego Taty. Widzimy na nim mądrego i prawego człowieka, pewnie zarządzającego losami najbliższych. Zdolnego i pracowitego. Kiedy jakiś czas temu zapytałem Cię, jak najprościej, jednym zdaniem, scharakteryzowałabyś ojca, usłyszałem w odpowiedzi: „ był twardy ale sprawiedliwy”. Zastrzegłaś wtedy, że czas, który minął, emocje naturalne u córki, wyidealizowały może obraz jego postaci. Jeśli nawet tak, co rozumiałe, to kiedy zestawiam przekazane przez Ciebie wspomnienie z własnym, to widzę w nim swojego dziadka takim, jakim i ja go znałem.

Józia przez całe życie podążała za swoim Jaśkiem. Ciepłem i łagodnością wypełniała przestrzeń, dla niego trudno dostępne, kochała Felusia, Gienka i

Helę bezwarunkowa miłością. Służyła im wszystkim tak jakby nie miała żadnych własnych potrzeb. Wiecznie zajęta od wczesnego rana krzątała się po domu i chlewie. Według własnego powiedzenia „chodziła jak woda”

Najpierw paliła w piecu, przygotowywała śniadanie, karmiła świnię, doila krowy. Nastawiała „na blasze „obiad i razem szli w pole w pole. W południe jedli to, co się „samo ugotowało” i na nowo brali się za robotę. Później wieczór – dojenie, kolacja.....i tak dzień w dzień. Raz w tygodniu wstawiała Józka jeszcze wcześniej. Piekła chleb. Musiała najpierw napalić w chlebowym piecu / to ta najniższa jego część /, zagnieść ciasto, przypilnować, żeby się dobrze upiekło. Już na śniadanie wielki pachnący bochen ze spieczoną i spękaną od żaru skórką, posypaną ziarenkami maku wędrował na stół. Zanim zaczęła chleb kroić czyniła nad nim znak krzyża nożem.

Ta dobra pracowita kobieta nie była jednak pozbawiona temperamentu. Pochodziła przecież z Kałużnych ! Wyborna tanecznicą, znali ją na weselach z dosadnych, często złośliwych przyśpiewek. Mocno zbudowana, silna fizycznie. Funkcjonowała w domu pewna opowieść z czasów wspólnej młodości Józki i Jaśka. Dziadek, jak wiemy, ogrywał z orkiestrą wesela, co reperowało wiecznie pusta kasę, zjadaną przez spłaty. Informacje o jego alkoholowej wstrzemięźliwości muszą dotyczyć chyba czasów raczej późniejszych. Zresztą, czy muzykant na weselu może wcale nie pić? Musiała więc Józka od czasu do czasu pomagać mężowi w powrotach do domu. Tym razem wspierała chłopca w drodze z Marcinkowic. Wlokła go najpierw między chałupami, później przez łąkę, aż wreszcie dotarli do Uniejówki, rzeczki nie bardzo szerokiej, ale z wartkim nurtem i zawsze przeraźliwie zimnej, bo zasilanej z niedalekiego źródła. Jedną ręką zarzuciła sobie Jaśka na plecy / był na szczęście raczej drobnej budowy /, drugą przycisnęła do piersi klarnet i przeniosła grajka na drugi brzeg. Myślę sobie teraz, ile to kobiet, również w naszej rodzinie, przeprowadzało swoich wspaniałych, zawsze najmądrzejszych mężów na bezpieczne drugie brzegi....

Kończąc , wspólnie z cicią Heleną, wspomnianie mojego dziadka, muszę z uczciwości rozwinąć jeden, trochę oględnie potraktowany rys charakterystyki:

„ każdy miał swoje zadania, biada jeśli kto je zaniedbał. Aż do przesady pilnował, żeby wykonać dobrze swoją pracę „.

Cóż się kryje za owym złowróżbnym „BIADA”. Kto jest bez grzechu niech rzuci kamieniem! Jan też miał swoje wady. Nerwus i narwaniec. Potrafił przylać chłopakom, najpierw braciom, potem synom, pasem a nawet, jak opowiadała Helena, lagą. Za to, mówi z rozrzewnieniem, jej nie uderzył nigdy.

Jak pamiętamy najmłodsza ze Scelinówien, Teofilka wydała się do Tczycy za Kocimskiego. Któregoś dnia przyleciała przez Chłopski Las na Perzówkę rozdygotana i zapłakana. „ Jasiu, on mnie bije „, wychlipała swojemu bratu – opiekunowi. W niedzielę po mszy zaszedł Jaśko do szwagra. Złapał go za kłapy świątecznej marynarki, zajrzał głęboko w oczy i powiedział: „ Jak ją jeszcze kiedy tkniesz to przyjdziemy z chłopakami i tak ci pysk objemy, że długo popamiętasz.” Chyba poskutkowało, bo na szczęście do interwencji z rękoczynami w wykonaniu Wicka i Józka najwidoczniej nie doszło. Inaczej wspomnienie o nim przetrwałoby w rodzinnej opowieści. Mamy więc nadzieję, że małżeńskie stosunki wróciły do normy. Mój kochany dziadek, jak widać, różne miewał oblicza.

Wypada mi teraz wspomnieć drugich dziadków, rodziców mojej mamy. Jak

wiemy mieszkali w sąsiadującej z Jelczą Tczycy. To bardzo rozległa i nie mniej stara wieś. Była niegdyś w części własnością szlachecką a w części kościelną. Ślad tych stosunków własnościowych pozostał do dzisiaj w nazwach jej kolonii. Jest więc Tczyca Pańska i Tczyca Duchowna, jest urokliwie brzmiący Bógdołek. Jedynakowie mieszkają na Ciołkowcu. Moja prababka kupiła, jak przypuszczam też przy pomocy kredytu z Banku Włociańskiego, kilkadziesiąt morgów ziemi właśnie tutaj. Odziedziczyło ją pięciu synów.

W dolince między pagórkami zbudowali swoje domy bracia: Stach, Józek, Wawrzyniec, Kazimierz i Andrzej. O Stachu napisałem już parę zdań przy okazji zakończonych niestety fiaskiem, poszukiwań zakopanego garnka ze złotymi pieniędzmi, którego strzegł pies z wielkimi świecącymi ślepiami.

Fascynowała mnie zawsze myśl o zgodnym sąsiedztwie braci. Przetrwiała budująca pamięć wzajemnej pomocy przy robocie w polu, wspólnym użytkowaniu niektórych maszyn i sprzętu. Nie słychać było za to o sporach i niechęciach.

Najbardziej na wschód wysuniętą działkę kupionego pola zajął mój dziadek Józek urodzony w 1900 roku. Za żonę miał Zofię z Kocimskich. Nie pozostało mi wiele wspomnień po rodzicach mamy. Bywałem we Tczycy raczej rzadko, w dodatku jako małe dziecko. Dziadek był już wtedy poważnie chory, zapamiętałem go wiecznie leżącego w łóżku. Umarł młodo w 1963 roku. Zapamiętałem, że wiadomość o jego śmierci zastała mnie i mamę w mieszkaniu pani Czechowej, sąsiadki z bloku przy ul. Karłowicza. Pociągiem dojechalismy na stację w Gajówce i malowniczymi ścieżkami poszliśmy do Tczycy. Był maj i padał śnieg. Miałem wtedy niecałe 8 lat.

To co wiem o dziadku Józku pochodzi z późniejszych relacji. Mój ojciec bardzo teścia Jedynaka wysoko cenił i lubił. Za to, że wzorowo gospodarzył a jeszcze więcej za to, że był porządnym człowiekiem. I tak musiało być w istocie, bo zasłużyć na pochwałę taty nie było łatwo. Prędzej dostrzegał w ludziach ich słabe strony niż zalety. Mama mówiła, że dziadek stracił zdrowie w czasie służby wojskowej, w okopach bo służba ta wypadła na dni wojny polsko – bolszewickiej. Wspominała, że brał udział w walkach na Ukrainie. Bardzo żałuję że na ten temat jestem w stanie napisać wszystkiego dwa króciutkie zdania, poparte jednym zachowanym zdjęciem, na którym widać szczupłego chłopaka w mundurze, stojącego przed ceglany murem jakiś koszar.





Mój dziadek Józek Jedynak w Szkole Podchorążych 70 pułku piechoty. Rok 1923.

Okazało się (a piszę te zdania zaledwie miesiąc po tym co widnieje powyżej), że w jednym z albumów jest jeszcze jedno zdjęcie dziadka Józefa z czasów jego służby wojskowej. I cóż. Fotografia burzy patriotyczną legendę o jego wojowaniu z Moskalami. Znajduję na nim młodego Jedynaka wśród żołnierzy Szkoły Podchorążych 70 pułku piechoty. Jest też data -1923 r. Bez problemu znajduję bardzo szczegółowe informacje o tej jednostce. Pułk wywodził się z 12 pułku strzelców wielkopolskich, który od marca 1919 do stycznia 1920 toczył walki z Niemcami o ustalenie naszej zachodniej granicy. 1 lutego dwudziestego roku został przemianowany na 70 pułk piechoty. Stacjonował wtedy w okolicach Lidy niedaleko od Wilna. Brał udział w wojnie polsko - bolszewickiej, staczając potyczki w trakcie naszego odwrotu i także później, po klęsce Czerwonej Armii pod Warszawą. Po tej wojnie jednostka przez cały okres II Rzeczypospolitej stacjonowała w Jarocinie i Pleszewie. Pod koniec 1921 roku trafili tam pierwsi rekruci z pokojowego naboru. Wśród nich musiał być też mój dziadek, który właśnie skończył 21 lat. Jak wyczytałem, służba w piechocie trwała wówczas 18 miesięcy. No to i 1923 rok ze zdjęcia się zgadza. A skąd legenda? Pewnie z zasłyszanych opowieści dziadka o historii pułku, która przecież zaledwie dwa lata po bojach z krasnoarmiejcami była na pewno bardzo żywa. Małe dziecko - Emilka zapamiętała je po swoimemu.

Coraz częściej, podczas zderzania się z barierą niewiedzy o czasie minionym myślę sobie – spieszmy się pytać, bo już niedługo nie będzie kogo. To tak samo jak z miłością do ludzi ze słynnej strofy ks. Twardowskiego. Uświadomienie sobie tej prawdy, coraz bardziej oczywistej w obliczu własnej starości, stało się jednym z powodów powstania tej opowieści. Kiedyś, kiedy moje dzieci albo wnuki, będą ciekawe czegoś z rodzinnej przeszłości a nie będą już miały kogo zapytać, niech przeczytają.

ROZDZIAŁ VI

O tym jak Jasiek i Józka ślą dzieci do szkół

Tymczasem wróćmy do Jelczy. Życie Scelinów na Perzówce stało się może odrobinę lżejsze. Rodzeństwo pospłacane, kredyt w banku też. Jasiek i Józka radzą o przyszłości dzieci. Rozumieją dobrze, że gospodarstwo może dać chleb tylko jednemu z nich. Decydują, że trzeba je kształcić. To co nam, dziewięćdziesiąt lat później wydaje się naturalne a nawet oczywiste na wsi pod Żarnowcem w drugiej połowie lat trzydziestych, takim wcale nie było. Postanowienie zrodziło się w głowach matki – analfabetki i ojca, który skończył wszystkiego cztery klasy ruskiej szkoły. Jest wiele powodów dla których tak bardzo cenię i szanuje moich dziadków ale najbardziej chyba za tę dalekowzroczną decyzję.

Popatrzmy znowu wstecz. Jan – przybysz z Małoszyc nie potrafił się podpisać, o czym zaświadczył kiedyś ksiądz Fabian Przybyłowski. Sztukę tę posiadał dopiero jego syn Wojtek. Musiał chodzić jakiś czas do gminnej szkoły, zwanej wtedy początkową. Pewnie nauczył się tam trochę czytać, trochę pisać i może nieco rosyjskiego, bo od 1871 roku ten język wprowadzono do nauczania. Jego syn a mój dziadek otrzymał czteroletnią edukację już tylko po rosyjsku. Język naszych wschodnich braci Słowian stał się obowiązującym wykładowym po roku 1885.

Jasiek nie zmarnował czasu spędzonego w jedleckiej szkółce. Nieźle mówił po rosyjsku / co jak się okaże przyda mu się w przyszłości /. Potrafił pisać grażdanką ale też dobrze radził sobie z formułowaniem myśli na papierze po polsku. Ruska szkoła początkowa miała za zadanie wychowanie chłopskich dzieci na wiernych poddanych imperium. Znajomość języka była szczególnie ważna u chłopaków powoływanych do rosyjskiego wojska. Dziadek do końca życia płynnie recytował z pamięci pełną tytulaturę miłościwie panującego gosudaria Mikołaja II Romanowa.

Jak widać tradycja kształcenia włościańskich dzieci była bardzo krótka a umiejętności zdobywane w ludowej szkole niekoniecznie przydawały się w codziennym życiu na wsi. Nic więc dziwnego, że po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku II Rzeczpospolita wchodziła z bagażem prawie 60% analfabetów w byłym zaborze rosyjskim.

Napisałem o Józce, że była analfabetką. Nie wiem czy to do końca prawda. Pamiętam ją, wtedy już moją babcię, jak modliła się z otwartą książeczką do nabożeństwa w ręce, ale nie wiem, czy to nie było tak, jak z małymi dziećmi, które nie dają się oszukać, kiedy zmordowana mama opuszcza zdanie w czytanej bajce. Domagają się pominiętego fragmentu, bo znają książeczkę na pamięć. Widzę też scenkę, w której dziadek trzyma jej dłoń z ołówkiem i próbuje pokazać literki potrzebne do podpisania się. Rezultat jest za każdy razem ten sam. Dziadek się

złości na widok efektu usiłowań, a babcia kończy : a daj mi spokój. Może więc Józka była tylko półanalfabetką. Faktem jednak niezaprzeczalnym jest, że do szkoły nie chodziła nawet jednego dnia. Mój ojciec opowiadał taką historię. Jako nastolatek szedł kiedyś wózkiem na Wieś. Przed swoją chałupą zatrzymał go Stary Magiera. Chłop był wyraźnie czymś poruszony i rozbawiony. „Chodź no Gienuś cosik ci powiem. Ty wiesz co ten – tu padło nazwisko, którego niestety nie zapamiętałem, gada. Opowiada, że to nie słońce chodzi po niebie, ino ziemia kręci się dookoła słońca. Patrz no jaki un jest jest głupi. Przecie słońeczko wschodzi na wschodzie, idzie po niebie i zachodzi na zachodzie”. Ręka starego zakreśliła szeroki łuk, żeby pokazać tę drogę. „Oj głupi, głupi”. Młody Gienuś już widać wtedy miał naturę prześmiewcy, bo nie brał się za objaśnianie Magierze kopernikańskiej teorii, a przyłączył się do starego i obaj dziwili się głupocie sąsiada, który nie spostrzega rzeczy oczywistych. Jak widać choćby z tego obrazka, potrzeba dostępu do oświaty była wielka. Chociaż... Jeszcze dzisiaj, prawie sto lat później, w erze niebywałego postępu technologii informatycznych, społeczności połaskoziemców prosperują całkiem dobrze.

Władze tworzącego się państwa uznały, powszechna edukację za spełnienie wymogu cywilizacyjnego ale też istotny element budowania tożsamości narodowej. 7 lutego 1919 roku Marszałek Józef Piłsudski wydał dekret wprowadzający na terenie dawnego Królestwa Polskiego obowiązek szkolny dla wszystkich dzieci w wieku od 7 do 14 lat. Nauka w siedmioletniej szkole powszechnej była bezpłatna.

W Jelczy, w 1918 roku w jednej izbie dzierżawionej od państwa Pietrawskich utworzono dwa oddziały. Od trzeciej klasy dzieci chodziły do Tczycy.

Kolejno z dobrodziejstwa nauki korzystali: Felek od 1927, Gienek od 1932 i Hela od 1936 roku. Najmłodsza z rodzeństwa rozpoczęła szkolną edukację w wieku sześciu lat. Powszechniaka ukończyła już za okupacji niemieckiej. W naszym domowym archiwum zachowały się świadectwa mojej mamy, rok od Helenki starszej, która chodziła do szkoły w Tczycy. Na druku z orłem w koronie, na który naklejono znaczek o wartości 10 gr, zaświadczały, że rodzice zapłacili składkę na budowę szkół powszechnych, widnieją przedmioty nauczania i oceny. Nauczyciele wykładali wtedy: język polski, arytmetykę z geometrią, rysunki, zajęcia praktyczne, śpiew, ćwiczenia cielesne i religię. Emilka była pilna uczennicą. W odpowiednich rubrykach pojawiają się najczęściej oceny bardzo dobre. Wygląd druku zmienia się na koniec roku szkolnego 1940/41. Emilka i jej rówieśnicy nie żyją już w Rzeczypospolitej Polskiej, symbolizowanej przez ukoronowanego orła a w Generalgouvernement Fur Besetzen Polnischen Gebiete / Generalne Gubernatorstwo Dla Okupowanych Polskich Obszarów /, samo zaś świadectwo zyskuje miłą uchu nazwę „schulzengnis „. Dwaj młodzi Scelinowie skończyli szkołę powszechną jeszcze w wolnej Polsce. Felek, przyszły gospodarz trafił po niej do Szkoły Przysposobienia Rolniczego w Trzyciążu, a Gienek, który według planu swojego ojca miał zostać urzędnikiem, do szkoły średniej – Gimnazjum Męskiego z internatem w Olkuszu. Skończył pierwszą klasę ale nie zdążył już zdać małej matury. Rozporządzeniem wielkorządcy Generalnego Gubernatorstwa, rezydenta Wawelu, dr. Hansa Franka średnie szkoły ogólnokształcące miały zostać zamknięte. Tę w Olkuszu zlikwidowano 23 stycznia 1940 r. Przyszła siła robocza mogła się kształcić tylko na poziomie powszechnym i zawodowym. . Trzeba było opuścić internat i wrócić do domu. Dyrektora i część nauczycieli Niemcy wywieźli do obozu

koncentracyjnego. Budynek stał się siedzibą Hitlerjugend.

Zanim jednak to się stało 13 - letni chłopak otrzymał od Niemca lekcje zapamiętaną do końca życia. We wrześniową niedzielę, jak co tydzień, szli całą klasą do kościoła na mszę. Nagle podszedł do niego przedstawiciel wyższej kultury zachodnioeuropejskiej. Żołdakowi nie spodobały się metalowe guziki gimnazjalnego mundurka mojego ojca z wizerunkiem orzełka. Jednym szarpnięciem rozerwał mu marynarkę. Guziki posypały się na ulicę. Chłopak rozplakał się ze strachu, złości i żalu. Przestraszył się Niemca, zezłościła go własna bezsilność i bardzo było mu żal naprawdę eleganckiego mundurka, który drogo kosztował rodziców. Żal było i tych guzików z orzełkiem.

ROZDZIAŁ VIII

O dalszej edukacji i o wojnie

Staram się opisywać dzieje naszej rodziny poczynając od 1744 roku. Przez ten czas przez Polskę, w tym przez mały skrawek ziemi w dorzeczu dolnej Pilicy, przetoczyła się Insurekcja Kościuszkowska, wojny napoleońskie, wojna polsko – rosyjska lat 1830 – 31, powstanie styczniowe, I wojna światowa. Czas przejść do rodzinnych wspomnień tej ostatniej.

Zapowiedziały ją na Perzówce 1 września 1939 r. samoloty z czarnym krzyżem, które rankiem obudziły dziadków. Leciały od strony Śląska na wschód. Nad Tunelem zrzuciły kilka bomb. Parę dni później na drogach pojawili się cywilni uciekinierzy z zachodu. Lato tamtego roku było bardzo pogodne i upalne, w gospodarstwie obficie obrodziły pomidory. Dziadkowie całymi kosztami wynosili je pod Staszyn i rozdawali głodnym, spragnionym uchodźcom.

Jelcza leży całkiem blisko ówczesnej granicy z III Rzeszą. Niecałe 80 kilometrów w linii prostej dzieli ją np. od Bytomia, który był już po niemieckiej stronie. Obrona Śląska i Małopolski przez Armię Kraków, która operowała na niemożliwie rozciągniętym froncie załamała się szybko, bo już w pierwszych dniach wojny. Wieczorem 5 września Niemcy doszli do linii kolejowej Miechów-Tunel i Wolbrom – Tunel. Tego samego dnia zajęli Wolbrom, Charsznicę, Pilicę i Żarnowiec. W Miechowie pojawili się dzień później.

12 października, na mocy dekretu Hitlera polskie ziemie, których nie wcielono do Rzeszy utworzyły Generalne Gubernatorstwo, potocznie zwane Generalną Gubernią. To właśnie „Generalgouvernement Fur Besetzen Polnischen Gebiete „ z nagłówka wojennych świadectw szkolnych mojej mamy. W tym okupowanym tworze, obejmującym Warszawę, Kraków, Lublin, Kielce a po zajęciu przez Niemców części Polski okupowanej od 17 września przez Sowieców, również Lwów i całe południowo – wschodnie Kresy, przyszło żyć Scelinom z Jelczy przez następne 6 lat. Mimo wszystko młodzi nadal zdobywali wiedzę. Taką możliwość dawało im uczestnictwo w tajnych kompletach

Nielegalne nauczanie w Generalnej Gubernii było odpowiedzią podziemnego Państwa Polskiego na zamknięcie średnich szkół ogólnokształcących, i drastyczne ograniczenie programów w szkołach powszechnych i zawodowych. Zakazano wykładania w nich historii, geografii, literatury. Siła robocza miała zostać pozbawiona świadomości narodowej i przygotowana do bezwzględności posłuszeństwa Niemcom. Podziemne władze szybko zareagowały na taki stan rzeczy. Już w końcu października 1939 roku została powołana Tajna Organizacja Nauczycielska, która miała za cel stworzenie zakonspirowanego systemu nauczania. Początkowo objęto nim szkolnictwo

powszechne, później powstały komplety na poziomie szkoły średniej.

Gienek podjął naukę w Kępiu, razem z dziećmi dziedzica Grodzickiego, a Hela trafiła na komplety na plebanii we Tczycy. Zajęcia z dziećmi prowadził tam Stanisław Laskowski, prywatnie mąż siostry proboszcza, ks. Augustyna Bińczyckiego. Młody nauczyciel, jak wspomina ciocia, był człowiekiem wszechstronnie uzdolnionym, z wyraźną żyłką pedagogiczną. W kompletach brało udział sześcioro dzieci. Poza Scelinówną na plebanię biegała również Emilka Jedynakówna, moja przyszła mama, Hela Kałużna, córka siostry babci Józki, Zofii i troje innych. Dziewczyny lubiły te lekcje również dlatego, że czasami były częstowane przez siostrę albo gospodynię księdza smakołykami, o których w rodzinnych domach na Perzówce czy w Ciołkowcu nie mieli pojęcia. Gienek w 1943 roku dostał się do zawodowej szkoły rolniczej w Czernichowie, jednej z tych, których funkcjonowanie dopuścili Niemcy. Szkoła miała długą i chlubną tradycję. Ufundowana przez krakowskie Towarzystwo Gospodarczo-Rolnicze otworzyło uczniom swoje podwoje w 1860 roku. Nawiasem mówiąc funkcjonuje nadal, będąc tym samym najstarszą szkołą rolniczą działającą po dziś dzień. Jesienią 1944 roku Niemcy wywieźli wszystkich chłopców, którzy się uczyli w Czernichowie na roboty przymusowe do kopania umocnień na Wschodzie. Dzięki jakimś zabiegom mój ojciec uniknął wywózki nie wiem. Faktem jest, że wrócił wtedy do domu.

Uzupełnić

Gienek na tajnych kompletach naucznia w Kępiu.

Komplety spełniły swoją rolę. Już 31 lipca 1945 r. dziewczyny otrzymały świadectwa ukończenia Gimnazjum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki w Miechowie. W dokumencie / mam świadectwo mojej mamy/ napisano, że została przyjęta do 4 klasy w dniu 1 lutego 1945 r i w tym czasie: „ukończyła naukę w zakresie programu przypisanego do gimnazjum ogólnokształcącego, zorganizowanego na zasadach art. 20 ust. z dnia. 11 marca 1932 r oku o ustroju szkolnictwa”. Znaczy to tyle, że w ciągu pół roku, uwzględniając wiedzę zdobytą na plebanii w Tczycy, Emilka i Hela zrealizowały czteroletni program nauczania gimnazjum. Dokument podpisała Rada Pedagogiczną w pełnym, sześciuosobowym składzie i Dyrektor Przełożona. Otwierał on dziewczynom drogę do liceum, matury i dalej aż na studia do Krakowa. Gienek, po kępskich kompletach u pana Szymachy i zdanej maturze też mógł zaraz po wojnie zasiąść w ławach auli Uniwersytetu Jagiellońskiego i zgłębiać tajniki nowoczesnej uprawy ziemi na Wydziale Rolnictwa.

Felek w 1943 roku podjął naukę w Szkole Górniczo- Hutniczej na Wydziale Mierniczym w Krakowie. Był już wtedy żonaty ze swoją równolatką Anielką, córką Jana i Wiktorii Kałużnych, sąsiadów ze Wsi. Ślub odbył się w 1941 roku. Z tym wydarzeniem łączy się ciekawa i chyba też trochę zabawna historia z udziałem babci Józki, o tym jak bardzo chciała ładnie wystąpić na weselu syna. Na taką okazję Niemcy przydzielali jakieś bony na zakup tekstyliów. Mama młodego wybrała się je zrealizować do Krakowa. Na piechotę. Wędrówkę w tamtą stronę podzieliła na dwa etapy, z noclegiem u przygodnych gospodarzy w Michałowicach. Gdzie się zatrzymała w mieście nie wiadomo. Raniutko

następnego dnia wyruszyła w drogę powrotną i przeszła 50 kilometrów jednym ciągiem. Na wieczór była w domu. Na weselu na pewno pięknie wyglądała. W 1943 roku Felek był już ojcem. Syn młodych, Stanisław przyszedł na świat 23 marca, jako pierwszy z kolejnego pokolenia Scelinów.

O samej wojnie mówiło się u nas niewiele. Tylko kilka epizodów przekazał w swoich wspomnieniach mój ojciec. Ziemia miechowska pod koniec wojny była terenem działania silnej partyzantki spod znaku Gwardii i Armii Ludowej. W 1944 r w naszej okolicy operował duży oddział pod dowództwem Jana Trzaski, który nosił pseudonim Gutek. Ze względu na położenie domu, poza wsią, blisko lasu i łąk, partyzanci pojawiali się czasami w gospodarstwie. Jednego razu, wiosną 1944 rozłożył się u nas cały sztab oddziału. Rodzina musiała wynieść się do stodoły bo dowództwo radziło w izbie całą noc. Wokół domu stały posterunki. Czego dotyczyła narada nie wiadomo, ale musieli rozstrzygać trudne zagadnienia, bo co i rusz wysyłali Gienka na Wieś po nową flaszkę bimbru. Bimber przyczynił się niestety do tragedii, która dotknęła oddział, dosłownie kilka dni po nocnych naradach na Perzówce. Po zasadzce w Wierzbiu na policję z Charsznicy, w której zabili 3 policjantów i 2 żandarmów, partyzanci pomaszerowali w kierunku lasów w pobliżu Udorza i schronili się w gajówce. Za mocno oblewali zwycięstwo, nie wystawili nawet ubezpieczeń. Do gajówki wpadł niespodziewanie oddział niemieckiej żandarmerii. W strzelaninie zginął gajowy i pięciu członków oddziału. Pozostali zdołali uciec. Niemcy wrzucili do środka trupy i podpalili budynek. Wszystko wydarzyło się w nocy z 24 na 25 kwietnia

Następnej nocy partyzanci wrócili żeby pochować towarzyszy. Wśród ocalałych znalazł się sowiecki zrzutek Siergiej. Udało mu się ukryć w jakichś zaroślach koło gajówki. To jego z Udorza przez Chlinę koledzy przetransportowali na Perzówkę. Kazali go dziadkowi przechować w ukryciu i dobrze karmić.

Jasiek przygotował Ruskiemu wygodne lokum w sianie na strychu domu, za wielkim kominem. Za dnia Siergiej, wielkie, czarne chłopisko nie wychylał nosa z kryjówki, ale po nocach gdzieś chodził i pewnie spotykał się z towarzyszami. Rany nie musiały być zbyt groźne, bo ciocia Hela nie pamięta, żeby musieli je opatrywać. Może robił to sam. Za to trzeba było go dobrze karmić. Codziennie zjadał 4 jajka, szybko brakło swoich i Hela chodziła kupować je u Wątorka. Na pytania, na co im tak dużo potrzeba, konspiracyjnie zmyślała, że mama pieką placki... bo co miała powiedzieć. Na początku czerwca Ruski zniknął tak nagle jak się pojawił. Pewnego ranka, ku niekłamanej uldze gospodarzy, po prostu go nie było. Radość zrozumiała, bo za ukrywanie sowieckiego partyzanta kara mogła być tylko jedna i nasz dom w przypadku wsypy podzieliłby pewnie los gajówki z Udorza. Siergiej chyba przeżył, bo jego rodacy z potężną Krasną Armią już kilka miesięcy później dotarli nad Pilicę.

Jesienią, kiedy już było oczywiste, że lada dzień ruszy sowiecka ofensywa zza Wisły, Niemcy zagonili miejscową ludność w wieku od 14 do 60 lat do kopania okopów, które miały być częścią linii obronnej A2 Merkur Stellung, prowadzącej od Szczekocin na Miechów i dalej przez Słomniki do Bochni i Nowego Sącza. Do dzisiaj widać jak gruntownie przekopany był Staszyn. Od głównego wielkiego rowu przeciwczołgowego odchodziła pajęczyna mniejszych transzei, we wschodniej części lasu wydrążono olbrzymie okrągłe wykopy, gdzie miały być osadzone działa przeciwpancerne. Z czasów mojego dzieciństwa pamiętam, że las był jeszcze usiany kłębami zardzewiałego drutu kolczastego, spletanego z pędami jeżyn. Roboty nadzorowali Niemcy i Ukraińcy z formacji

wojskowych, policyjnych i Organisation Todt. Chyba sami już nie wierzyli w ich sens. Ojciec, nawet ze współczuciem wspominał jednego z nich, łagodnego i przyjaźnie nastawionego weterana, Austriaka. Co wieczór, po kolejnej szklance bimbrowy oznajmiał, że Hitler kaput i że on już nie wróci do rodziny w swoje strony. I pewnie biedak miał rację. Ojciec mówił także o akcji partyzantów, którzy zastrzelili kilku ze stacjonujących w Jelczy Ukraińców. Wspominał, że wcześniej wysłali go na Wieś, żeby sprawdził, czy są na kwaterze.

Cała ta wielka, wykonana naszymi rękami robota na nic się zdała. Na szczęście Niemcy nie obsadzili umocnień w Staszynie. Na szczęście, bo gdyby tak się stało, to z domów na Perzówce nie pozostał by kamień na kamieniu, a dokładniej mówiąc belka na belce. Wystarczy sobie uprzytomnić, że przedłużenie głównego rowu przeciwczołgowego biegło ze Staszyna w kierunku wsi przez wątorokowe pole. Wśród kopiących rowy w lesie była i Emilka Jedynakówna. Ciężką pracę w czasie jesiennych chłódów dziewczyna przyspłacała poważnym zapaleniem pęcherza.

13 stycznia okolice Żarnowca zaroły się od ustępujących Niemców. Kierowali się w stronę Pilicy i Szczekocin. Dzień później pojawili się Rosjanie. Rankiem od strony Kępia i Marcinkowic przetoczyło się zadziwiające widowisko, które młodzi oglądali z dachu na chlewie. Mój ojciec opisywał je jako szaroburego węża poruszającego się z dziwnym pomrukiem i chrzęstem na zachód, przez przeszło godzinę. Dzień był mroźny, toteż nad wężem unosiły kłęby pary. Stwór, w którym nie dało się odróżnić poszczególnych żołnierzy popełznął dalej, w kierunku Chliny, Udorza i Żarnowca. Pozostała po nim tylko czarna blizna o szerokości kilkunastu metrów na połaci śniegu połyskującego w świetle słońca. Ten widok pozostał na zawsze w pamięci taty.

Już tego samego dnia zaczął się bój o Szczekociny. Niemcy z determinacją bronili miasteczka. Ostatnie punkty oporu padły dopiero 16 stycznia. Żołnierze jednego z wypartych oddziałów zostali wycofani do Pilicy i zakwaterowani w prywatnych domach. Powiedzieli gospodarzowi jednego z nich, że ze 160 pozostało ich 16. Równie zaciekle broniło się kilku Niemców na wieży kościoła w Chlinie. Przy zdobywaniu świątyni poległo wielu Rosjan.

Kiedyś, podczas lekcji historii w moim liceum im. Stefana Żeromskiego w Kielcach, mówiliśmy o upadku Berlina. Rzecz jasna nauczycielka postawę obrońców stolicy III Rzeszy nazwała bezmyślnym fanatyzmem. Wtedy z ławki podniósł się mój kolega Rysiek Strzelecki i zapytał, czy to uczciwe, że kiedy nasi zaciekle bronią straconych pozycji, to nazywa się ich bohaterскими obrońcami Ojczyzny a kiedy Niemcy giną żeby nie oddać swojej stolicy, to zasługują na miano fanatyków? Nauczycielka przezornie nie podjęła dyskusji a mnie Rysiek zaimponował niezależnością myślenia.

Dokładnie w tym samym czasie, 14 stycznia, tuż obok Jelczy rozegrała się jeszcze jedna potyczka. Brygada Świętokrzyska Narodowych Sił Zbrojnych w sile prawie tysiąca żołnierzy, uchodząca na zachód przed Rosjanami starła się z siłami Wehrmachtu w Pogwizdowie, wsi graniczącej z Marcinkowicami. Tego samego dnia przed wieczorem Polacy zostali zaatakowani przez sowiecki czołgi. Aby nie dostać się do rosyjskiej niewoli musieli przejść przez Żarnowiec a następnie przekroczyć Pilicę. Po pertraktacjach z Niemcami dowództwo Brygady uzyskało od nich zezwolenie na przejście przez most. Przeprawa odbyła się już pod ogniem sowieckich czołgów. Tylko ostatnie wozy taborów nie zdążyły przejechać na drugi brzeg. 16 stycznia oddział przekroczył przedwojenną granicę, później

przemaszerował przez Czechosłowację by na końcu połączyć się w połowie maja z jednostkami armii amerykańskiej. Wielka odyseja zakończyła się uratowaniem życia około 1000 partyzantów, których los w wypadku trafienia do sowieckiej niewoli byłby przesądzony.

Za frontowikami – żołnierzami pierwszej linii szli następni. Tabory zaopatrzenie, sztaby. Jak mówi ciocia Helena ludzie z nadzieją wyczekiwali Armii Czerwonej. Było bardzo przyjaźnie. Mama Staszka Sceliny przekazała mu wspomnienie o tym, jak to z szeregu maszerujących wystąpił żołnierz i pogłaskał półtorarocznego malca, którego trzymała na rękach, po buzi. Widok dzieciaka musiał w jego sercu obudzić tęsknotę za własną rodziną pozostawioną gdzieś daleko.

Wojsko oczywiście pokazało miejscowym i inną twarz. Z całej wsi błyskawicznie zniknęły wszystkie kury, kaczki i gęsi. Wydarzały się zwyczajne rabunki. Z naszego chlewa, na oczach dziadka Jaśka sołdat wyprowadził i zabrał piękną gniadą klacz. Jak wiemy gospodarz, absolwent czterech carskich klas, dobrze mówił po rosyjsku. Odnalazł jakiegoś oficera i poskarżył mu się na złodzieja. „o sukin syn” usłyszał dziadek, trzeba było nie pozwolić, „ubit jego było”. O technicznej stronie „ubiwania” uzbrojonego rabusia w mundurze dziadek nie został poinformowany. Faktem jest, że po swojej interwencji Jasiek uzyskał rekompensatę w postaci ochwaconej, kudłatej szkapy taborowej, której nie chciał nawet wprowadzić do stajni i jak wspomina ciocia natychmiast się pozbył. Na chwilę zakwitł handel wymienny. Domowa bimbrownia, działająca od ostatnich lat okupacji w suszarni tytoniu dostarczała litry pożądanej waluty. Pamiętam, pozyskaną tym sposobem wojskową kulbakę, latami poniewierającą się na strychu chlewa. W nasze ręce dostał się także wielki żelazny kocioł z emaliowanym wnętrzem, w którym wcześniej przygotowywali zupę w kuchni polowej. Sagan służył potem w gospodarstwie do pojenia krów i koni. Dzisiaj gromadzimy w nim deszczówkę. To ostatnia, jedyna już pamiątka wydarzeń ze stycznia 1945 roku.

W naszym domu zakwaterowali wtedy się jacyś oficerowie. Jeden z nich, pewnie enkawudzista przeprowadził z dziadkiem znamienne rozmowę. „A znajesz li ty, kto twoje prawitielstwo?” (a wiesz, jaki jest twój rząd ?). Pewnie, że wiedział. Był przecież Jasiek świadomym obywatelem II Rzeczypospolitej, przedwojennym członkiem Polskiego Stronnictwa Ludowego, na bieżąco informowanym o bieżącej polityce z nasłuchów audycji „radia bum bum bum” – Tu mówi Londyn. „Konieczno, znaju. Moje prawitielstwo Stanisław Mikołajczyk...” (No pewnie, mój rząd to Stanisław Mikołajczyk...), zaczął. „O żesz ty, durak, twoje prawitielstwo eto Wanda Wasiliewskaja „(Twój rząd to Wanda Wasilewska, durniu !). Przed zdumionymi oczami dziadka, który, jako żywo nigdy o żadnej Wasilewskiej i żadnym Związku Patriotów Polskich nie słyszał pojawiła się ręka z naganem. Na szczęście w czas zaserwowana szklanka domowego bimbru złagodziła propagandowy zapal politruka.

ROZDZIAŁ IX

O czasach nie tak znowu odległych

W Polsce zainstalowała się nowa władza przywieziona ze Związku Radzieckiego. Szukając legitymizacji ogłosiła tzw. referendum ludowe, z trzema pytaniami dotyczącymi ustrojowej przyszłości kraju. „Tak” odpowiedziało zaledwie około 26% głosujących. Oficjalnie ogłoszono jednak, że poparcia komunistom udzieliło ich prawie 80 %. Takie samo szalbierstwo odbyło się i rok później z wynikami wyborów. Przystąpił do nich Blok Demokratyczny z Polską Partią Robotniczą na czele z jednej strony i jedyna partia opozycyjna Polskie Stronnictwo Ludowe z drugiej. Mimo terroru, morderstw, aresztowań i pozbawiania praw wyborczych oponentów władzy, PSL otrzymał w granicach 60% głosów. Organizatorzy, wspierani przez radzieckich towarzyszy z Ministerstwa Gosudarstwiennoj Biezopasnosti (Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego) reprezentowanego w tej sprawie przez pułkownika, nomen omen Aarona Pałkina, dokonali olbrzymiego oszustwa. Ogłosili swoje zwycięstwo wynikiem 80.1 %. Prezes PSL Mikołajczyk musiał uciekać za granicę. Dziadkowa legitymacja Stronnictwa z jego podpisem nakreślonym zielonym atramentem powędrowała do skrytki pomiędzy powałą a stragarzem, gdzie na pamiętkę kolejnych w naszej historii ciekawych czasów leży do dzisiaj.

Stosunek Jaśka do nowych porządków był jednoznaczny. O ich przedstawicielach mówił nieodmiennie: dyktatura, złodzieje i koziarze. Ostatni epitet odnosił się najbardziej do komunizujących mieszkańców pobliskiego Kępia. W jego ustach cygan i pepeerowiec były synonimami. Z wczesnego dzieciństwa pamiętam, że wieczorami słuchało się Radia Wolna Europa. Zanim z głośnika dały się słyszeć wiadomości z Zachodu, przerywane szumem, hukiem, trzaskiem zagłuszarki trzeba było wyjść przed dom i sprawdzić, czy nie stoi ktoś przed oknem, żeby podsłuchać co się dzieje w środku, Wszyscy na wsi wiedzieli, kto się trudni donoszeniem na sąsiadów do milicji. Nazwisk sąsiadów denuncjatorów nie warto teraz wspominać.

Młodzi korzystali z możliwości kształcenia się. Felek i Gienek poszli do Krakowa. Obaj zapisali się na Wydział Rolniczo-Leśny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Helena i Emilia Jedynekówna uczyły się w Państwowym Liceum i Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki w Miechowie. Po maturze, tak jak chłopaki też trafiły do Krakowa. Scelinówna spróbowała spełnić swoje marzenia o farmacji. Po dobrze zdanym na Akademii Medycznej egzaminie z biologii i chemii przyszły pytania z wiedzy obywatelskiej. Indagowana przez członka komisji (wojskowy-sprzedawczyk, tak go określiła w rozmowie ze mną) co było przyczyną zerwania w czasie wojny stosunków polsko-sowieckich odpaliła

szczerze i zgodnie z oczywistą prawdą – Katyń. I to był już koniec nie tylko egzaminu, bo natychmiast wyleciała za drzwi, ale i snuty z ojcem marzeń o aptece. Ostatecznie Hela podjęła studia na Akademii Ekonomicznej a Emilka w Studium Spółdzielczym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przez kolejne lata jedleckie morgi utrzymywały troje studentów w Krakowie. Co tydzień jedna z pociech przyjeżdżała na wieś po zaopatrzenie w chleb i masło dla siebie i rodzeństwa. Jak widać „słoiki” nie są takim znowu bardzo nowym wynalazkiem.



Czasy krakowskich studiów Helenki Scelinówny i Emilki Jedynakówny

Pewnego wakacyjnego dnia, kiedy mój tata był już po osiemdziesiątce,

pojechaliśmy we troje do Krakowa. Wspólnie z Wiesią przyglądaliśmy się wzruszeniom starego człowieka, wywołanym wspomnieniami z minionych czasów. Poprowadził nas do imponującej siedziby ówczesnego Wydziału Rolniczo Leśnego Uniwersytetu Jagiellońskiego, przy u. Mickiewicza, później pod budynek Bratniaka, domu akademickiego w którym mieszkał przez cały czas studiów, z tablicą upamiętniającą legendarnego, a dobrze mu znanego portiera. Gdyby te mury potrafiły mówić! Chociaż chyba lepiej, że nie umieją, a o młodości rodziców wiemy tylko tyle ile sami zechcą nam powiedzieć. Sentymentalną wędrówkę zakończyliśmy odpoczynkiem na Błoniach. Chyba właśnie wtedy ojciec opowiedział o wielkim pochodzie, który 3 maja 1946 roku uformował się po mszy w kościele Mariackim, na Rynku i manifestował swoje poparcie dla Mikołajczyka. Był wśród zgromadzonej młodzieży akademickiej a później z dachu jakiejś kamienicy obserwował atak funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, w trakcie którego strzelali do ludzi. Może to dobry moment, żeby powiedzieć o konsekwentnej niechęci ojca do „władzy ludowej” i jej rosyjskich protektorów. Pewnie wiele czynników złożyło się na taką postawę. Atmosfera w domu, patriotyczne wychowanie w szkole i osobiste doświadczenia. Jedno z nich głęboko zapadło w jego świadomość. Będąc we Wrocławiu, pewnie w 46 a może 47 roku przyglądał się przyjazdowi z Rosji tzw. repatriantów, czyli naszych rodaków wygnanych z Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, które po wojnie dostały się Sowietaom. Był głęboko wstrząśnięty widokiem ludzi umęczonych, brudnych i zawszawionych, stłoczonych w bydłych wagonach. Do końca życia taty nie usłyszałem z jego ust jednego dobrego słowa o Rosji. Ta konsekwentna niechęć mocno na nim ciążyła. Nigdy, mimo namów i stawianych warunków nie zapisał się do PZPR, co przypłacił utratą dyrektorskiego stanowiska w Zjednoczeniu Państwowych Gospodarstw Rolnych na Śląsku i widoków na jakieś awanse.

W latach osiemdziesiątych byłem świadkiem próby ostatniego zamachu na jego niezależność. Ludzie dobrze ojcu życzący prawie go namówili do podpisania deklaracji wstąpienia do Stronnictwa Demokratycznego, przybudówki PZPR, co było warunkiem uzyskania lepszej pracy. Wszystko było z grubsza dogadane, dwaj orędownicy sprawy sprawi pojawili się w naszym domu, żeby pogratulować tacie decyzji i oblać awans. Oblewanie przeciągnęło się do późna w nocy, aż rozmowy musiały zejść na tematy mocno polityczne, bo ojciec stopniowo podnosił głos, po czym pełni najlepszej woli koledzy pośpiesznie opuścili nasze mieszkanie. Pozostało po starym. Ojciec nigdzie się nie zapisał.

Po uzyskaniu dyplomu Uniwersytetu Gienek otrzymał nakaz pracy w Zjednoczeniu Państwowych Gospodarstw Rolnych na Śląsku. Z moją mamą, tylekroć już wspominaną Emilką Jedynakówną /nazywał ją Mila/ pobrali się w 1954 roku w ...Stalinogrodzie. Pewnie nie wiecie gdzie to jest. Nie szukajcie miasta o tej nazwie na mapie Polski. Na szczęście go nie znajdziecie, bo Stalinogród to Katowice. Zmiany nazwy dokonali komuniści 7 marca 1953 roku, w trzy dni po śmierci Józefa Wissarionowicza :

„ Dla uczczenia pamięci Wielkiego Wodza i Nauczyciela mas pracujących i Jego wiekopomnych zasług dla Polski, Rada Państwa i Rada Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej uchwalają co następuje: miasto Katowice przemianować na miasto Stalinogród a województwo katowickie na województwo stalinogrodzkie.”

Chwała Bogu śląskie miasto nie musiało długo znosić niezasłużonego zaszczytu posiadania nazwy upamiętnionej na ślubnym zdjęciu moich rodziców. W grudniu 1956 roku Katowice powróciły na mapę Polski.

Fotografia zrobiona przed stalinogrodzkim urzędem Stanu Cywilnego uwieczniło zaledwie pięć osób. Poza państwem młodymi widzimy na nim świadków, którymi byli: Stach Kałużny, cioteczny brat ojca, już wtedy, co widać, zapracowujący na przydomek „Gruby”, Zosia Jedynakówna, śliczna siostra stryjeczna mamy i stojąca nieco z tyłu za nimi żona Stacha. Zastanawia, dlaczego na ślubie nie było ani rodziców oblubieńców, ani ich rodzeństwa, żadnych znajomych czy przyjaciół. Ciocia Hela nie potrafi a może i nie chce wytłumaczyć tych okoliczności. Dość tajemniczo mówi mi, że nigdzie nie znajdę pamiątek ślubu kościelnego i wesela. Żadnych zaproszeń, żadnych zdjęć. Kiedy jej słucham pojmuję, że ma rację. W dwóch albumach, do których mama pieczołowicie wklejała fotografie nie ma śladu tych tak ważnych w jej życiu wydarzeń. Czy stoi za tym jakiś sekret? A może to ja spowodowałem zamieszanie, myślę przez chwilę. Ale nie, pod zdjęciem mama zapisała w albumie datę. 10 kwietnia 1954. Przyszedłem na świat w czerwcu następnego roku, a więc w terminie jak najbardziej przyzwoitym.. Pozostaje powtórzyć. Nie warto dociekać osobistych tajemnic z młodości swoich rodziców, tym bardziej, że przecież żadną miarą się ich nie rozwikła.



Moi przyszli rodzice



Ślub w Stalinogrodzie

ROZDZIAŁ X

O tym, że wszystko, co ma początek musi mieć i koniec

Czas powoli zamykać tę rodzinną opowieść. I tak rozrosła się już znacznie ponad pierwotny zamiar. Miała być tylko komentarzem do kupki dokumentów leżących w szufladzie kredensu w Jelczy i parafialnych aktów stanu cywilnego, które czytałem w diecezjalnym archiwum. Tymczasem stopniowo poszerzały ją moje własne wspomnienia z lat dzieciństwa, przychodzące czasem zupełnie nieoczekiwanie w trakcie pisania, przynosząc z przeszłości obrazy zdarzeń, postaci bliskich osób, fragmenty rozmów... Nieocenionym źródłem informacji o ludziach dawno już zmarłych były rozmowy z cicią Heleną Ostachowską, nestorką rodu, ponad dziewięćdziesięcioletnią już teraz, ale obdarzoną godną podziwu jasnością myśli i wspaniałą pamięcią nestorką rodu. Winien jej jestem za długie rozmowy, prowadzone niestety głównie przez telefon (na całym świecie już od ponad roku szaleje pandemia koronawirusa, w praktyce uniemożliwiająca bezpośrednie kontakty) olbrzymią wdzięczność. Wiele ciekawych dokumentów udostępnił mi Staszek Scelina, pomagał też Rysiek Ostachowski.

Doszedłem właśnie do 14 czerwca 1955 roku, dnia urodzin dziecka z pierwszego rozdziału opowiastki, przysłuchującego się rozmowom i bajaniom jedleckich sąsiadów ze swojego azylu za oparciem łóżka. Wszystko, co następuje później, to już moja współczesność, a o niej nie chcę pisać. Może się tym zajmę następnej jesieni (jak doczekam, powtórzę za babcią Józką, która nie chcąc kusić losu i świadoma nikłego wpływu człowieka na jego własną przyszłość wszystkie swoje dalsze plany opatrywała takim zastrzeżeniem), ale nie teraz. Dlatego też powojenne dzieje dzieci Jana i Józefy Scelinów potraktują naprawdę pokrótce.

Po kolei. Najstarszy ich syn Felek po ukończeniu w 1950 roku studiów osiadł na Śląsku, w Katowicach. Tam podjął pracę w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, później był kolejno zastępcą dyrektora Zakładów Jajczarsko Drobiarskich w Chorzowie, dyrektorem Klucza Państwowych Gospodarstw Rolnych Chruszczów w Bytomiu, zastępcą Przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Gliwicach, Zastępcą Dyrektora Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczej w Gliwicach. W 1972 r. ukończył podyplomowe studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego. Był członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, brał udział w zajęciach Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu Leninizmu. Myślę, że szczerze zaangażował się w tworzenie powojennej rzeczywistości PRL-u. Przekonują mnie o tym jego żarliwe dyskusje, a czasami, nie ma co ukrywać, i kłótnie z moim ojcem. Nigdy nie skończone dowodziły, że w tych kwestiach bracia różnili się zasadniczo. Miewał Felek, mój stryj, wielkie plany, snute w myśl mickiewiczowskiej Pieśni Filaretów. „

Mierz siłę na zamiary, nie zamiar podług sił”. Część z nich, dotyczących życia społecznego w Jelczy, doprowadził do skutku. Jego wielką zasługą było odtworzenie tutaj tradycji orkiestry włościańskiej, ponowne powołanie jej do życia i stworzenie, między innymi przez zakup instrumentów muzycznych, warunków do funkcjonowania.

Nie powiódł się niestety inny, tym razem zakrojony na wielką już skalę, plan powołania Skansenu Wsi Jelcza. Lata zajęły Felkowi przygotowania. Opracowywał monografię wsi, zinwentaryzował istniejące jeszcze wtedy zagrody z przełomu XIX i XX wieku, negocjował z ich właścicielami. Społecznym i organizacyjnym zapleczem przedsięwzięcia miało być Towarzystwo Miłośników Skansenu Wsi Jelcza. Leżą przede mną wypożyczone z domowego archiwum jego syna Staszka dokumenty założycielskie organizacji, które stryj pieczołowicie przygotował. Skansen miał być in situ, chaty powinny być pozostać na swoim miejscu i być udostępnione do zwiedzania. Znalazłem pismo, znanej mi osobiście i niezwykle sympatycznej ówczesnej Wojewódzkiej Konserwator Zabytków w Kielcach Anny Piaseckiej, która ideę ze wszech miar akceptowała i popierała. I tyle. Niestety skansenu nie ma, a prawie wszystkie stare chaty zniknęły z powierzchni ziemi. Tym razem okazało się, że czasami skromne działania wygrywają z ambitnymi zamierzeniami. Mój ojciec, równie jak Felek zakochany w jedleckiej tradycji, przez lata gromadził wiejskie starocie. W stodole narzędzia do uprawy roli, młockarnię, wialnię, wozy, sanie, a w chlewie rzeczy drobniejsze. Są tu żarna, łopaty, którymi wsadzało się chleb do pieca, dzieże i niecki, maselnice, narzędzia do obróbki lnu, kołowrotek, maszyna do szycia Singera lampy naftowe, żelazka na węgiel i z duszą, skrzynia, w której babka Marianna przywiozła z Marcinkowic swoją wyprawę. Tak oto, choć w skromnym wydaniu spełniły się marzenia o skansenie. Kiedy piszę te słowa postanawiam przemyśleć, jak te skarby lepiej przechować i eksponować.

W 1955 roku Felek, który wcześniej wynajmował w Katowicach prywatną kwaterę, ściągnął swoją rodzinę – żonę i dwóch synów do swojego nowego mieszkania na Osiedlu Robotniczym im. J. Marchlewskiego (Koszutka).

Po przejściu na emeryturę coraz częściej przebywał w Jelczy, zgospodarowywał nowy dom, zajmował się pasieką. Zmarł 10 czerwca 2001 roku i jest pochowany na cmentarzu we Tczycy, w jego południowo – wschodniej części razem z żoną Anielą pochowaną w 1984 roku i synem Andrzejem, chrzestnym ojcem Wojtka, którego zabił zawał serca w grudniu 1998 roku.



Felek w Busku Zdroju



Felek w Jelczy, przed domem Kałużnych z synem Staszkiem.



Aniela z Kałużnych, żona Felka

O drugim z kolei synu Jana i Józefy, a moim ojcu Eugeniuszu wiele pisałem

wcześniej. Ja świat przyszedłem w Rybniku. Do końca mojego drugiego roku życia mieszkaliśmy w służbowym familoku z czerwonej cegły w Czerwionce Leszczynach. Później na ponad trzy lata osiedliśmy w rodzinnym domu na Perzówce. Kolejna przeprowadzka do Kielc, tym razem już na stałe, nastąpiła w grudniu 1961 tak, żebym mógł pójść do szkoły już w mieście. Tutaj w bloku Kieleckiej Spółdzielni Mieszkaniowej przy ul Karłowicza 1 mieszkałem do 1988 r, a moi rodzice aż do swojej śmierci. Oboje zmarli na raka. Mama w 2010 a Tato w 2011 roku i również leżą na tczyckim cmentarzu. Z Wiesią – Jagodą Woś pobraliśmy się we wrześniu 1984 roku. Od rodziców wyprowadziliśmy się na osiedle Stok. Najpierw do dwu a później czteropokojowego mieszkania. W 2003 roku zbudowaliśmy dom na kieleckim Nowym Folwarku. W nim, przy ul. Leszczyńskiej 166 mieszkamy do dzisiaj.

Helena wyszła za Wojciecha Ostachowskiego, kolejnego w tej historii absolwenta Wydziału Rolniczo – Leśnego Uniwersytetu Jagiellońskiego, pochodzącego ze Sułoszowy koło Ojcowa. Jego ojciec Józef był osobistością naprawdę nietuzinkową. Urodzony w 1883 roku, jako kilkunastolatek pracował w kopalni w Zagłębiu Dąbrowskim, odbył służbę wojskową w carskiej armii aż w Kursku, po powrocie organizował we wsi ruch ludowy. W wolnej Polsce w wyborach z 26 stycznia 1919 roku otrzymał mandat posła. Kandydował na funkcję marszałka Sejmu, ale przegrał współzawodnictwo z Wincentym Witosem., natomiast powołano go na jednego z wicemarszałków. W czasie drugiej wojny światowej uczestniczył w organizowaniu ruchu oporu na terenie powiatu olkuskiego. Jego brat został w 1940 roku aresztowany przez gestapo i rozstrzelany z za udział w partyzantce. Wojciech był członkiem Batalionów Chłopskich, po wojnie został uwięziony przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie na Montelupich i oskarżony o przynależność do Zrzeszenia Wolność i Niepodległość i posiadanie broni. Dzięki zabiegom ojca skorzystał z amnestii i wyszedł na wolność.

W roku 1951 młode małżeństwo osiadło w Kielcach. Do naszego miasta właśnie nakaz pracy skierował Wojtka. Przez kilka miesięcy gnieździli się we wspólnym pokoiku biurowym przy ul. Mickiewicza, później otrzymali służbowe mieszkanie w nowej kamienicy na ul. Chęcińskiej. To w niej przyszedł na świat ich pierworodny Ryszard. W 1960 roku rodzina przeprowadziła się do nowo wybudowanego własnego domu we wschodniej części miasta przy ul. Ludwiki Wawrzyńskiej, nazwanej tak na część bohaterskiej nauczycielki, która straciła życie, wynosząc z pożaru hotelu robotniczego czworo dzieci.

Helena przez większość kariery zawodowej była związana z administracją publiczną. Początkowo pracowała w Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego, później awansowała na jej szefową. Doradzała kolejnym wojewodom, którzy cenili ją za fachowość, szerokie horyzonty myślowe i pracowitość. Jako ostatnia z żyjących z małżeństwa niezwykle pomagała mi przy pracy nad tą opowieścią. Po raz kolejny jej za to dziękuję.

10 linijek tekstu od cioci



Helena Scelina – Ostachowska z mężem Wojciechem , jego ojcem Józefem, wicemarszałkiem sejmu II RP i synem Ryśkiem. Połowa lat 50-tych XX wieku.

Wróćmy teraz do Jelczy. Skończyła się wojna, wykształcone z takim trudem

dzieci wyjechały do miast i na Perzówce zostali już tylko dziadek Jasiak i babcia Józka. Obrabiali we dwoje mniejsze już gospodarstwo, bo kilka mórg sprzedali, głównie na koszty nauki całej trójki. Pozostało im jeszcze pięć i pół hektara. Pole koło domu, Górki, i trzy łąki, w tym łąka pod stawem i Gwiazdówka. Uprawiali ziemię, hodowali krowy, świnie, drób. Dziadek wyjeżdżał co poniedziałek na handel do Żarnowca, gdzie sprzedawał gulonkom jabłka, czereśnie i porzeczki. W pewnym okresie plantacja porzeczek była całkiem spora. W czasie zbiorów owoców w gospodarstwie rozbrzmiewał gwar i było wesoło, bo dziadek zatrudniał do tej pracy miejscową dzieciarnię. Pod koniec lat pięćdziesiątych mój ojciec z dziadkiem założyli fermę lisów futerkowych. To czas kiedy mieszkaliśmy z mamą w Jelczy. Znaczna część prac związanych z obrządzaniem zwierząt spadła właśnie na nią. Niestety, kontakt z lisami doprowadził do cichej tragedii, którą dotarła do mnie dopiero po latach. Zakaźne odzwierzęce poronienie pozbawiło mamę drugiego dziecka a mnie młodszej siostry. Biznes nie trwał długo, bo państwo zadbało, by przestał być opłacalny, obciążając go dodatkowymi podatkami, tzw. domiarami.

W 1976 roku rodzina zdecydowała o podziale gospodarstwa. Stryj Felek otrzymał połowę pola przy domu na Perzówce i łąkę pod Staszynem o łącznej powierzchni 1.8075 hektara, mój ojciec drugą połowę pola i łąkę pod stawem – 1.9095 hektara i ciocia Helena tzw. Górki i łąkę nad Uniejówką (1.8350 hektara). Felek i Hela dostali po połowie nowego domu a Gienek naszą zabytkową chałupę. Gospodarowanie dziadków, wspierane sezonową pomocą taty trwało jeszcze wiele lat potem. Oboje długo byli zdrowi i sprawni fizycznie. Problemy zaczęły się dopiero na początku lat osiemdziesiątych. Babci w wyniku raka amputowano dłoń, dziadek tracił wzrok i nic mu nie pomogła operacja zaćmy. Mimo to nadal sobie jakoś radzili.

Śmierć przyszła po Jaśka 19 sierpnia 1984 r. Było późne popołudnie, dziadek leżał już w łóżku. Ku zdziwieniu Józki wysłał ją, jak nigdy, do Wątorka, żeby do niego zaszedł, bo chciałby trochę pogadać. Janka akurat nie było w domu, przyprowadziła więc jego żonę Natalię (Talkę). Kiedy już były w domu, babcia została w kuchni a Talka zajrzała do pokoju, gdzie leżał dziadek. Stamtąd babcia usłyszała :” Ciotko, przecie uni nie żyją”.

Mój ojciec uznał, że te zaprosiny sąsiada, to ostatni dobry uczynek Jaśka na tej ziemi. Czuł, że umiera i nie chciał, aby w takiej chwili Józka była sama. Wierzę, że tata miał rację.

Trumnę z dziadkiem nieśliśmy na cmentarz we czterech. Czterech wnuków. Dwóch Felkowych synów – Stach i Andrzej, Syn Heli Rysiek i ja – Gienków Marek. Jeśli to prawda, że umarli patrzą na nas z góry, to Jasiak musiał być dumny i zadowolony. Po trudach długiego osiemdziesięcioośmioletniego życia spoczął razem z prochami swoich rodziców Marianny i Wojciecha na tczyckim cmentarzu. Babcia przeżyła męża o długie dwanaście lat. Jeszcze przez jakiś czas mieszkała sama, obrządzając wyproszoną u dzieci i uratowaną od sprzedaży krowę, aż dotknęło ją kolejne nieszczęście. Potknęła się o próg pomiędzy sienią a izbą, przewróciła i złamała szyjkę kości biodrowej. Całą noc leżała na betonowej posadce. Rano wreszcie znalazł ją tam wreszcie Felek. Babcię Helena zabrała do swojego domu przy ul. Ludwiki Wawrzyńskiej w Kielcach, mojego ukochanego konia Karego i krowę sprzedali. I to był już ostateczny koniec trwającej przez trzy pokolenia, od dnia uwłaszczenia w 1864 roku, historii włościan na jedleckich morgach, Scelinów.

Sto dwadzieścia lat, na które złożyło się życie Jana i Magdaleny, Wojciecha i Marianny, Jana i Józefy było czasem kształtowania się na wsi społeczności prawdziwych gospodarzy. Ludzi codziennej, trudnej teraz do wyobrażenia pracy. Niezwykle przywiązanych do swojej ziemi, którą, jak pamiętamy, kolejne pokolenia gromadziły kosztem wielkich wyrzeczeń. O ojcowskim dziedzictwie babcia mówiła nie „ojcowizna” a „ojczyzna”. W czasie, kiedy tak wiele słyszy się się o znaczeniu w życiu społeczeństw i pojedynczych ludzi tzw. małych ojczyzn warto zastanowić się i nad takim, może najbardziej pierwotnym znaczeniem tego słowa.

Nie byli wykształceni. Nie przeszkadzało to jednak, żeby dziadek Staszka, Jan Kałużny – Serwuś dostarczał małemu wnuczkowi wzruszeń, czytając na głos Krzyżaków, Józef Ostachowski dostąpił zaszczytu przewodniczenia obradom Sejmu Ustawodawczego Rzeczypospolitej a moi zdobyli się na wielki wysiłek kształcenia dzieci. Brali udział w życiu swoich lokalnych społeczności, tak jak dziadek Jasiek, który był członkiem przedwojennego Polskiego Stronnictwa Ludowego, grał w orkiestrze wiejskiej na klarncie (potrafił czytać nuty) i jako człowiek obdarzony zaufaniem kolegów pełnił w niej funkcję skarbnika, bo stanowiła też swoistą kasę zapomogowo – pożyczkową. Jego ręczne zapiski dokumentujące przychody i wydatki orkiestry przechowuję do dzisiaj.

W czasie, kiedy odchodzili wieś już intensywnie pustoszała. Mój ojciec, pozostawił po sobie taką oto notatkę na ten temat, odnoszącą się do początku lat dwutysięcznych;

„Wieś Jelcza, gmina Charsznica, powiat Miechów

Ludność:

1. Ogółem 450 osób.
2. Wdowy 52 osoby, w tym 23 powyżej 80 roku życia.
3. Wdowcy 9 osób, w tym 4 powyżej roku życia.
4. Starzy kawalerowie 34 osoby powyżej 33 roku życia.
5. Stare panny 5 osób.

Osoby samotne mieszkające w pojedynkę – 23, w tym 8 mężczyzn, osoby zamieszkujące we dwójkę – 27.

Domów zamieszkałych 135, zamieszkałych tylko w okresie letnim – 20, domów opustoszałych – 12. „

Chylę czoła przed ojcową znajomością Jelczy i jej mieszkańców (oczywiście każdego znał z imienia i nazwiska) oraz troską o przyszłość wsi. Ze smutkiem mówił, że wymiera. Przypomnę, W latach osiemdziesiątych XIX wieku zamieszkiwało ją prawie dokładnie tyle samo ludzi, bo 446 ale domów było 52 co znaczy, że w każdym dorastało po kilkoro dzieci. Dzisiaj nie ma już w Jelczy szkoły, bo nie miałby kto do niej chodzić.

Napisałem, że spowodowany wypadkiem i kalectwem babci wyjazd do Kielc symbolicznie oznaczał koniec pewnej epoki na Perzówce. Rzeczywiście zamknęła się historia siewów i żniw koszenia łąk , sadzenia ziemniaków i wykopków, obrządzania krów i świń, kur, kaczek i całego tętniącego codzienną krzątaniem gospodarowania, do którego byłem tak bardzo, jako dziecko przywiązany. Józka zmarła w 1996 roku, po latach cierpliwego i pełnego pokory zmagania się ze swoją niepełnosprawnością. Wydawała się całkowicie pogodzona ze swoim losem. A jednak. Kiedyś zawieźliśmy babcię na wózku

inwalidzkim na cmentarz we Tczycy (latem ojciec zabierał ją do Jelczy i tu się nią opiekował) Kiedy dojechaliśmy do grobu, w którym spoczywa dziadek wybuchnęła gwałtownym płaczem i wykrzyczała : „Jasiek zabierz mnie już do siebie”. Rozstanie Józki i Jaśka trwało długich dwanaście lat

Moi rodzice zajmowali się domem i obejściem równo przez ćwierć wieku. Po odejściu na emerytury mieszkali tam od kwietnia do października każdego roku i wyłącznie ich zasługą jest, że przetrwały one do dzisiaj.

Wspólnie z Wiesią postanowiliśmy uczcić stulecie naszego wiejskiego domu. Jak wiemy wypadło w 2018 roku. Rodzinne spotkanie zgromadziło, przy pięknej majowej pogodzie, kilkadziesiąt osób. Są one uwiecznione na fotografii stanowiącej ostatnią ilustrację mojej opowiadki. Zamknij ją napis, który umieściliśmy ze Staszkiem na stragarzu, a który wykonał mój kielecki przyjaciel, Marek Klikowicz. Poprosiłem go żeby wyrył następujące słowa:

„Błogosław Boże wszystkim, którzy w tym domu mieszkali, mieszkają i będą mieszkali. Scelinowie”



Załącznikiem do opowiadania jest drzewo genealogiczne ukazujące 10 pokoleń potomków Andrzeja Sceliny z Małoszyc obejmujące 277 lat. Starąłem się dotrzeć do jak największej liczby współczesnych przedstawicieli tej linii rodziny. Mam nadzieję, że ci z nich, których pominąłem w tekście, a powinni się w nim być, odnajdą się w tym załączniku.

Kielce, grudzień 2020 – maj 2021 r.